PRAKTYCZNA PANI

Nr. 31

DOBRA OBYWATELKA

TYGODNIK ILUSTROWANY

30 GROSZY

rok II

1 SIERPIEŃ 36



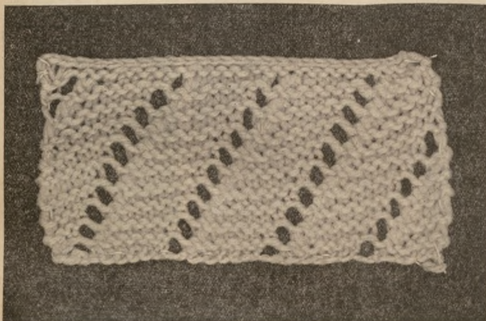
NUMER TEN ZAWIERA 24 STRON TEKSTU Z RYCINAMI I KOLOROWEMI MODELAMI SUKIEN ORAZ OSOBNY ARKUSZ Z TABLICĄ KROJÓW I WZORAMI ROBÓT

TREŚĆ:

Prenumerata miesięczna 1 złoty

ŚCIEGI NA DRUTACH NA BLUZKI I SWETERKI





BLUZECZKA WIOSENNA W UKOŚNE MEREŻKI.

Na podstawie objaśnień, podanych w lekcjach: „Uczmy się robić na drutach" mogą Panie wykonać przedstawioną na rysunku bluzeczkę.

Materjał: 25 dk wełny jasnej, kolorowej, średniej grubości, 2 dk wełny białej na kołnierzyk. Druty Nr. 2 do wykonania ściągaczki. Druty Nr. 3 do wykonania bluzeczki i kołnierzyka.

Jak zrobić kołnierzyk.

Robotę kołnierzyka rozpoczynamy od nabrania jednego oczka, dodając na początku każdego rzędu po jednem oczku z każdej strony roboty. Wycięcie szyi pasujemy ściśle podług bluzeczki. Od ramion ilość oczek zmniejszamy. W tym celu z każdej strony kołnierzyka przerabiamy po 2 oczka razem, przy końcu każdego rzędu. Część bluzeczki, a także kołnierzyka jest z tyłu rozcięta i zapinana na guziczek. Od miejsca zapięcia robimy oddzielnie najpierw jedną część pleców, potem drugą. Tak samo postępujemy z kołnierzykiem. Kołnierzyk przyszywamy niewidocznie. Dokoła wycięcia szyi i zapięcia, obrabiamy 3 rzędami ścisłych półsłupków. Kołnierzyk ozdobiony barwnym guzikiem.

Opis ściegu. Mereżka ukośna pojedyńcza. (Próbka 30 oczek).

I rząd. 5 oczek prawych, 2 oczka przerobić razem na prawo, 1 narzucić, 5 prawych, 2 razem, 1 narzucić... i t. d.

II rząd i wszystkie parzyste zwyczajnie na prawo.

W następnych rzędach nieparzystych na początku każdego rzędu robimy o jedno oczko mniej: np. Na początku rzędu III robimy 4 oczka prawe zamiast 5. W rzędzie V robimy na początku 3 oczka prawe. Robiąc w ten sposób przesuwamy ażur mereżki o jedno oczko i tak powstaje linja ukośna mereżki. Na przedstawionym modelu mereżka rozchodzi się ukośnie od środka w dwie strony. W tym celu, gdy dojdziemy do środka przesuwamy oczko mereżki w każdym nieparzystym rzędzie nie na prawo, a na lewo. Np. w I rzędzie na środku mamy 5 oczek prawych. W III na środku będzie 6 oczek pr., w V 7 ocz. pr., w VII 8 pr. w IX 9 oczek pr., w XI 10 oczek prawych. W XIII rzędzie rozpoczynamy na środku nową mereżkę, jak to uwidocznione na rysunku.

Wanda Wodzyńska.

Ścieg ażurowy na bluzeczki:

I rząd — cały po 2 oczka razem na prawo.

II rząd — 1 oczko przerobić na lewo, 1 oczko narzucić,... powtarzać na zmianę do końca rzędu.

III rząd — zwyczajnie na prawo.

IV rząd — zwyczajnie na lewo.

Powtarzać od 1-go rzędu.

Ścieg na drutach w kwiateczki:

I rząd i wszystkie nieparzyste rzędy robimy na lewo.

II rząd × 9 oczek przerobić na prawo, 1 narzucić, 2 oczka przerobić razem i przeciągnąć przez oczko następne, 1 oczko narzucić × 9 oczek na prawo... i t. d. (od × do × powtarzać),

IV rząd, 7 oczek na prawo, 2 razem × 1 oczko, narzucić, 3 oczka na prawo, 1 narzucić, 2 oczka razem, 5 oczek na prawo, 2 oczka razem ×....

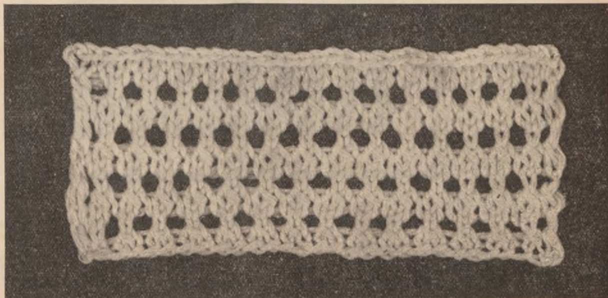
VI rząd robimy tak jak II-gi.

VIII rząd, 3 oczka na prawo, × 1 oczko narzucić, 2 oczka razem na prawo, oczko przeciągnąć, 1 narzucić, 9 oczek na prawo ×.

X rząd, jedno na prawo × 1 oczko narzucić, 3 oczka na prawo, 1 narzucić, 2 oczka razem, 5 oczek na prawo, 2 oczka razem ×.

XII rząd robimy tak jak VIII.

Następnie powtarzamy od I-go rzędu.







Ś. p. generał Gustaw Orlicz-Dreszer.

KRONIKA TYGODNIOWA

Tak smutno jest zacząć tę kronikę od żałosnych słów o śmierci generała Dreszera.

Wyniosła, romantyczna postać. O wdal zapatrzonych oczach. Nieskazitelny, wierny żołnierz. Takim go nam zabrało, tak przez Niego ukochane morze.

Jakże dobrze znała go Warszawa!

Pamiętamy żałobny dzień majowy, gdy konno prowadził smutny orszak, na spoczynek wieczny wiozący ciało Komendanta. Ten żołnierz z zastygłą w cierpieniu twarzą był wtedy symbolem całej, osieroconej armji.

Nie o wiele dni i miesięcy przeżył wodza!

Zginął żołnierz wierny, taki co po latach odżywa w legendzie, piosence ludowej, bajce przy kominku.

Beliniak — Kmicic naszych czasów, co moskala, tak jak tamten Chowańskiego, podchodził. Potem — szczypiorniak, co zataiwszy umyślnie oficerską szarżę, na duchu i energji potrzymywał kolegów — szeregowców w obozie internowanych legjonistów.

W roku 1920 — dowódca kawalerji, szalone i barbarzyńskie walki, romantyczny pęd ku sławie i mądry, zimny mózg Dowódcy.

A potem, potem — umiłował sobie morze i na jego usługi, na krzepienie „morskiej woli w narodzie“, oddał swe siły.

W ostatnich nieledwie dniach życia mianowany inspektorem L. O. P., klamrą serca i pracy złączył niebo z morzem.

Nie czas dziś płakać, że Go już niema, — czas ślubować wierność Jego wzniosłym ideom.

Czyż może być piękniejsza śmierć?

Oto generał Gustaw Orlicz-Dreszer zginął w tym właśnie miejscu, gdzie dwa lata temu przyjmował defiladę pułków kawalerji, ślubujących wierność polskiemu morzu.

I doprawdy, nie mogę tych kilku o Nim słów zakończyć inaczej, jak fragmentem z wiersza Kleszczyńskiego o księciu Józefie.

„Iżeś niewolne zmazał błędy,
iżeś wyśpiewał hymn uniesień,
iżeś rycerzu doskonały
godzien najwyższej wieków chwały—
— L e g e n d y!“

— — — — — — — —

Prasa codzienna przyniosła wiadomość, że w połowie lipca wyjeżdża na Huculszczyznę grupa studentów medycyny. Ekspedycja ta ma na celu szerzenie wśród ludności wiadomości z zakresu higjeny i eugeniki, zakładanie punktów sanitarnych i t. p.

Wiadomość ta jest niezmiernie ważna. Huculszczyzna, najpiękniejsza bodaj połać naszego kraju, jest traktowana po macoszemu.

Zachwycamy się jej egzotyzmem, pomarszczoną, starą Hucułką z fajką w zębach, czerwonemi spodniami, hafiami i serdakami, kupujemy, często podrabiane, kilimy i czytamy „Na wysokiej połoninie“, ale za mało myślimy o tem, że zwiedzający Huculszczyznę winien nietylko zbierać fotografje typów i krajobrazów, nietylko odbywać marsze szlakiem II brygady, ale patrzeć głębiej i widzieć smutne dno sprawy.

Oto Huculi są od lat gnębieni przez choroby weneryczne. Gorący klimat, nędza i brak higjeny, sprzyjają niezmiernie rozwojowi tych chorób, i pokolenie za pokoleniem tej pięknej, silnej rasy, degeneruje się w sposób zatrważający.

Wraz z ekspedycjami sanitarnemi spłynie na Huculszczyznę światło nauki i wiedzy, spłynie czystość i higjena.

Praca to żmudna, a efekty narazie będą nikłe. Nie wolno się zniechęcać. Barwny egzotyzm to rzecz piękna, ale nie wtedy, gdy za podszewką kryje się nędza i syfilis.

Oczywiście, wiem dobrze, że tam się już robi wiele, od kilku bodaj lat, usilna propaganda ruchu turystycznego na Huculy, robi swoje. Ale turystyka wnosi tylko nieco pieniędzy w biedne chałupy, nie wnosi zaś wcale, albo wnosi niezmiernie mało pierwiastka ideowego.

Huculszczyzna nęci, bo jest piękna i bardzo tania.

Powinniśmy jednak rozumieć, że właściwie, to każdy z nas, wyjeżdżający na urlop na kresy kraju, ma do spełnienia pewną misję. Misję — godnego reprezentowania kultury Warszawy, Krakowa, Poznania czy Łodzi wobec Poleszuka, czy Hucula, dla którego letnik jest przeważnie tylko „smutną koniecznością“, z której, poza pewną ilością pieniędzy — nie czerpie się nic.

Znaleźć podejście do nieufnej duszy tego Poleszuka, czy Hucula i zostawić mu najdrobniejszy bodaj ślad własnej kultury, a więc choćby kawałek mydła, szczoteczkę do zębów, książkę; sprawić, aby ten „egzotyczny“ mieszkaniec egzotycznych zakątków kraju, czekał z utęsknieniem przyszłego lata i przyjazdu ludzi z miasta, — nie dla pieniędzy — lecz właśnie dla tych promyków światła, które wraz z niemi przypłyną — oto zadanie „mieszczucha na wywczasach“. E. K.

LIST Z LASU

Najlepiej lubię samotnie dumać. (Jest taka w parku prześliczna aleja). Albo z wiejskiemi dziećmi się pokumam, albo do ptaków na drzewie się śmieję! Pusto i cicho tu w rannej godzinie. Wiatr wśród pierzastych figluje paproci, poszum tajemny górą lasu płynie, smukłe pnie świerków rdzawe słońce złoci. Siadł przy mnie dzięcioł i łebek przekrzywił, skacze wiewiórka, ruda tanecznica... — Wszystko to znane, ale ciągle dziwi... Wprost nie wiem, czem mam najpierw się zachwycać!...

Nad łąką nagle zaklekotał bociek. A pod błękitów przezroczystą głębią — znieruchomiałą w swym zdradzieckim locie — het — parę skrzydeł ujrzałam jastrzębia...

Siano mi pachnie, dźwięczą w dali kosy i skowronkowe najmilsze śpiewanie! Chłonąc te barwy, zapachy i głosy, myślę, że życia ludzkiego nie stanie — by dość nacieszyć się ziemi urodą!... Nie chcę się trapić przyszłą dolą czarną. I całe życie chcę mieć duszę młodą, by wszystkie świata uroki ogarnąć!...

I wtedy myślą szukam w miejskim tłumie pokrewnych duchów i tak się uśmiecham, by — jeśli szczęście kto moje rozumie, podchwycił sercem te radosne echa!...

Alina Kwiecińska.

Trzy święta Marji w miesiącu sierpniu

„Przyszły nam pospołu z Nią, wszystkie dobra".
(ks. Mądrości VII. 11).

Miesiąc sierpień, liczy aż 3 święta Matki Boskiej, dwa święta kościelne 2-go i 5-go, oraz jedno uroczyste 15 sierpnia. W dniu 2 sierpnia przypada święto Matki Boskiej Anielskiej; jest ono obdarzone największym odpustem dla zakonów Franciszkańskich, tak zwanym „Porcyunkuli", co po łacinie znaczy „cząsteczka". Nazwa ta pochodzi stąd, że św. Franciszek, wybudował mały kościółek w dolinie Spoletańskiej pod Assyżem i pierwszy swój klasztor założył na cząsteczce gruntu, który mu odstąpili na ten cel OO. Benedyktyni. Papież Honoriusz III, na osobistą prośbę św. Franciszka, nadał odpust dla kościółka „Porcyunkuli" w dniu 2-go sierpnia, — pod mianem Matki Boskiej Anielskiej z powodu widzenia, które miał św. Franciszek. Stolica apostolska przywiązała ten odpust zupełny na wszystkie czasy do wszystkich kościołów franciszkańskich, czyli Braci Mniejszych w całym świecie. Tego odpustu mogą dostąpić tylko tercjarze, a inni wierni tylko w tych kościołach Zakonu Serafickiego, które posiadają na to specjalny indult. Inną, bardziej wsławioną jest historja święta 5-go sierpnia, Matki Boskiej Śnieżnej. Za czasów papieża Liberjusza (352—368) pewna para bezdzietnych małżonków z patrycjuszowskiej rodziny w Rzymie pragnęła ofiarować swe dziedzictwo na chwałę Bożą. Ukazała im się Najświętsza Panna i objawiła swą wolę, aby na wzgórzu, które ujrzą pokryte śniegiem, wystawiono kościół pod Jej wezwaniem. W kilka dni później, wśród największych upałów, rankiem 5-go sierpnia 359 r. spadł w Rzymie gęsty śnieg, pokrywając jakgdyby białym obłokiem wzgórze Eskwilinu. Na tem miejscu wzniesiono wspaniałą bazylikę, jedną z bogatszych w Rzymie, do dziś dnia podziwianą pod nazwą Santa Maria Maggiore. Cennym klejnotem tej świątyni jest bardzo starożytny obraz Matki Boskiej, przypisywany pędzlowi św. Łukasza Ewangelisty, który to wizerunek od wezwania kościoła na pamiątkę okazanego cudu nazwano mianem Najświętszej Panny Marji Śnieżnej.

W r. 1571, 7-go października w dniu bitwy pod Lepanto, kiedy połączona flota papiesko-hiszpańska zaatakowała potężną armadę turecką, w Rzymie urządzono uroczystą procesję różańcową z kościoła na Eskwilinie, a na jej czele niesiono wizerunek Najświętszej Marji Śnieżnej. Modły zanoszone do Boga w tak krytycznej dla chrześcijaństwa chwili zostały za przyczyną Matki Najświętszej wysłuchane i w ten sposób, zwycięstwo pod Lepanto dodało Jej nowej chwały i rozpowszechniło kult Najświętszej Panny Śnieżnej w całym świecie chrześcijańskim. W Polsce, wystawionej na niebezpieczeństwo częstych napadów hord tureckich, kult ten przyjął się szybko i szeroko. Od wieku XVI wizerunki Najśw. Panny Marji Śnieżnej, obok obrazów malowanych na wzór jasnogórskiego, należały do najpopularniejszych w naszym kraju. Prawie wszystkie obrazy Matki Boskiej, słynące u nas cudami i łaskami, zwłaszcza na Kresach, w Berdyczowie, w Latyczowie, w Tynnie i t. d., to były kopje z kościoła Marji Maggiore w Rzymie. Jedną z takich kopij ofiarował OO. Dominikanom do kościoła Św. Trójcy w Krakowie biskup łucki Bernard Maciejowski, pod koniec XVI wieku. Obraz ten odegrał w naszej historji tę samą rolę, co oryginalny wizerunek w Rzymie podczas bitwy pod Lepanto. Kiedy po klęsce pod Cecorą sułtan Osman II przygotowywał się do nowej ofenzywy, hetman Chodkiewicz zebrawszy z wysiłkiem kilkadziesiąttysięczną armję okopał się pod Chocimiem. W tych chwilach trwogi cały naród wzywał znów pomocy Matki Najświętszej, a z kościoła OO. Dominikanów w Krakowie wyruszyła błagalna procesja z cudownym obrazem na czele przy biciu dzwonów i huku dział z baszt i wieżyc miasta. W kilka dni później rycerstwo polskie odniosło zwycięstwo nad bisurmanami i zaczęły się rokowania pokojowe. W niektórych kościołach polskich do tej pory, z polecenia papieża Grzegorza XV, obchodzą uroczystem nabożeństwem pamiątkę zwycięstwa pod Chocimiem. Jakby na potwierdzenie tych słów z Księgi Mądrości, że przez Nią przyszły nam wszystkie dobra, Marja nie przestaje zarzucać świat cały, a zwłaszcza naszą Polskę cudami Swego Miłosierdzia i Swego wszechpośrednictwa u Boga. Ksiądz Jełowicki w jednej ze swych książek mówi, że cud Matki Boskiej Śnieżnej uczy nas trzech rzeczy. Najpierw, że stawianie kościołów jest uczynkiem bardzo miłym Bogu i bardzo miłosiernym dla ludzi, którzy w każdej niedoli moralnej czy ziemskiej zawsze w domu Bożym najpewniejszą znajdują pociechę. Powtóre uczy nas, że Marja jest naszą ochłodą, a jak nie trudno Jej było w dniach największych upałów pokryć górę śniegiem, tak potrafi swoją białą szatą niewinności i czystości zasłonić nas od wszelkiego upalenia zwodniczych ogni świata, jak również wybawić od ogni piekielnych. Nakoniec cud ten nam mówi, że ofiara uczyniona Matce Boskiej nigdy nie zaginie i jak ziarno złożone w Jej sercu macierzyńskiem, rozkrzewia się na cały świat i wynagradza ludzkość miljonowym plonem nowych i ciągle powtarzających się cudów Jej łaski, Jej miłości, Jej hojności, Królowej i Matki. O trzeciem święcie sierpniowem pomówimy w odpowiednim czasie.

E. P.

Z BIEGIEM WISŁY

Jest taki tytuł książki dla młodzieży, dawno już bardzo wydanej. Ale warto tych słów użyć, jako hasła, dla zmęczonych warszawiaków, takich — co nie mając nadmiaru pieniędzy, pragną jednak w urlopowym czasie gdzieś wyjechać i coś zobaczyć.

Więc proszę — na statek i — jazda z biegiem Wisły!

Właśnie taką wycieczkę zrobiłam sobie ja, odpowiadając znakomicie podanym wyżej warunkom, zarówno co do zmęczenia, jak i znikomej ilości pieniędzy.

Ranek na Wiśle! Jesteśmy, po przejechanej nocy, pod Płockiem. Z wysokich, stromych brzegów patrzą na nas wieżyce prastarej katedry. Płock — perła Mazowsza, bohaterskie, krzyżem Virtuti Militari za rok 1920 odznaczone miasto, bezcenny antyk rzucony wśród mazowieckich równin. Przebiegamy śpiesznie ulice. Oto stary dom Radziwiłłów, na frontonie herb „Trąby". Oto zadumany i cichy Plac kanoniczny, gdzie mieści się Pałac Biskupi i Towarzystwo Naukowe. Oto katedra, ta właśnie, którą podziwialiśmy już z oddali, w niej groby królewskie — Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego; a naprzeciw katedry posępna baszta, resztki dawnego więzienia szlacheckiego, gdzie ongiś w lochach konał samotnie Kryspin Gozdawa — wojewoda Mazowiecki.

Z żalem żegnamy Płock, trzeba jechać dalej.

Teraz już wrażenia zmieniają się prędko!

Brzydki Włocławek, jakże bardzo brudny i zażydzony. Potem Ciechocinek i Toruń — surowy, poważny Toruń. Kościoły Torunia każą zginać się kolanom i myślom biec ku wieczności. W mroku konfesjonałów skulone sylwetki tych, co przyszli po słowa rozgrzeszenia i tych, co w Imię Chrystusa rozgrzeszają. Łamie się przyćmiony blask słoneczny w kolorowych, zmatowiałych szybkach witraży. Wieki, wieki patrzą na nas i ciężarem swym przyciemniają zwodniczy blask doczesności. Toruń — jak i Kraków — łączy w sobie czar przeszłości z urokiem teraźniejszości.

Mroki krzyżackich murów kościoła Panny Marji i rozkwiecona złuda róż na Przedmieściu Bydgoskiem splatają się z sobą. A potem — po drugiej już na statku nocy — Tczew i jego kręte, mozolnie wspinające się wgórę uliczki — i „przebój" podróży — przesiadanie na statek morski.

Biała „Carmen" płynie dalej z biegiem rzeki, coraz bardziej już głębokiej i uregulowanej.

Po brzegach pastwiska krów. Całe stada wspaniałych holendrów zbiegają do Wisły, do specjalnie dla nich urządzonych wodnych wybiegów. Chwila przerwy w jeździe — to śluzy gdańskie.

Za chwilę widać już — morze!

I wszystkich ogarnia wzruszenie. Cóż robić, choćby tam ktoś był nie wiem jak trzeźwy i zimny, zawsze w tym momencie, w tej jedynej chwili ujrzenia lśniącego w słońcu, migotliwego i zmiennego Bałtyku, zawsze uczuje właśnie to, co kiedyś, w niemodnej już dziś piosence nazwane zostało „chwilą sentymentalną", jaką zawsze w życiu mieć jednak trzeba.

Godzina jazdy morzem! Zmienia się rytm kołysania statku. Otacza nas błękit morza, bo wbrew utartej opinji o posępności Bałtyku jest on właśnie błękitny w ten cudowny dzień lipcowy; błękit nieba bez chmury i biel mew. Płyniemy, jak w bajce, oczarowani tą wodną drogą, płyniemy, aż póki dźwięk portowych bój nie powie nam, że to już Gdynia. Kres wędrówki, kres czarodziejskiej drogi wśród nieba, fal i mew!

Doprawdy, trudno o bardziej wymarzony odpoczynek niż taka jazda.

Chcesz samotności? Wyciągniesz się, człowieku zmęczony, na leżaku. Nad głową masz niebo i słońce, albo wieczorem księżyc i gwiazdy. Fale biją w burty statku, szepcą ci coś i dogadują. Spokój i cisza spływa na świat i na ciebie. Księżycowy szlak idzie po wodzie i szumią i czernią się pobrzeżne wikliny.

Chcesz towarzystwa? Ludzie na statku nie męczą i nużą, tak, jak w mieście. Z przyjemnością wdajesz się w rozmowę z przygodnemi sąsiadami. Sprawdzasz niedokładności swoich psychologicznych zdolności. Oto przemiła pani spogląda na ciebie i widzisz na oko, że się nudzi.

Padają pierwsze słowa rozmowy, narazie obustronnej. Wkrótce jednak ty milkniesz, a pani gada... gada... gada. O mężu, co został w domu, (sprytny człowiek—

myślisz z pasją), o wychodzeniu spod króla w bridge'u, o domowym sposobie robienia serów, o linach na szaro.

Jak to dobrze, że na statku są dwa pokłady!

Oto pan o wyglądzie bonviveura. Myślisz — oto przygoda! Migają ci wspomnienia fragmentów przeczytanych powieści i strzępki filmów. Tak się zawsze tam zaczynało. Młoda, zmęczona kobieta w pociągu, czy na okręcie — i wytworny pan w podróżnem ubraniu.

Bonviveur okazuje się 100-procentowym gentlemanem i niezrównanym specem w przyrządzaniu sałatki z pomidorów, której brak w bufecie daje się nieprzyjemnie odczuć.

Siedzisz, jak królowa. Mężczyzna dla ciebie pracuje! I to właśnie ten uwodzicielski pan! Robi dla ciebie sałatkę z pomidorów! Czyż to nie jest przyjemne?

Zbliżają się ludzie nawzajem. Prześwietla ich słowa i spojrzenia jakaś daleka od miejskich spraw życzliwość i dobroć. Stają się usłużni i mili. Niema polityki i niema bridge'a!

Jest Wisła i jest morze i mewy!
I jest słońce, słońce, słońce!
Ewa Karska.

W I Z Y T A

Miłe mieszkanie państwa Oleskich na kolonji Kolumba przedstawiało obraz ruiny, były to może jednak tylko przygotowania do odświętnych jakichś uroczystości.

Proste w linjach fotele stały rzędem na ścieżce ogródka, na wieszaku, w głębi obejścia kołysał się ciężko barwny dywan w kwiaty. Przez kilkoro otwartych drzwi widać było pochyloną postać służebnej, wycierającą podłogę szmatą benzynową, a sama pani domu, leciwa już, ale dzielna siwowłosa dama czyściła pastą mahoniowe stoliki wystawione do oszklonego przedsionka.

Wystawione na powietrze pokojowe doniczki z kwiatami, zroszone letnią wodą, kąpały się w rozkosznej świeżości, podczas gdy na werandzie od wschodniej strony pan Oleski własnoręcznie malował trzcinowe krzesła nowo reklamowanym lakierem.

W południową tę porę sąsiadka państwa Oleskich, która tu lubiła zachodzić na spokojną pogwarkę o dawnych, dobrych czasach i obecnych „niemiłych nastrojach", stanęła zdumiona u wrót ogrodu i zawołała:

— Maryniu! co się u was dzieje! Dawno już po świętach, a wy się w porządki bawicie?

Pani Marja zaniechała pracy i, wycierając ręce w ściereczkę, ukrytą w kieszeni fartucha, podeszła z uśmiechem do przyjaciółki. Wpuściła ją przez furtkę i wskazała jako siedzenie jeden z czysto wytrzepanych foteli.

— Dobrze, żeś przyszła, — rzekła, — odpocznę przy tobie, Wandeczko, bo się mocno od rana sfatygowałam.

— Wytłumacz mi tylko, co to znaczy? U was zawsze tak czysto, — pytała dalej pani Wanda. — Widzę, że i pan Józef dziś w domu.

— Dałam mu zajęcie, — szepnęła pani Józefowa, — bo chciał mi pomagać, a wiesz dobrze, jak panowie przeszkadzają przy porządkach.

— Nie wiem jeszcze poco, u licha, wzięłaś się do tej męczącej roboty? — rzekła pani Wanda, zapalając papierosa, a widząc wokoło schludny ogródek, oglądała się, czy niema wpobliżu popielniczki.

Tu pani Oleska usłużnie podała jej małą glinianą podstawkę od doniczki, a cała rozpromieniona odpowiedziała:

— Dzieci przyjadą! To nasze doroczne święto.

— Jakto! — spytała pani Wanda ciekawie, — wszystko troje?

Za kilka dni wypadną moje urodziny i utarło się już, że Rozalka i Kasia i nawet daleki z południa , rodzinny nasz dyplomata, lubią być razem u rodziców w tej porze.

— To bardzo miły zwyczaj, — zauważyła chłodno pani Wanda, która była bezdzietna i nie wszystkie wzruszenia rozumiała. Szczególnie też nie lubiła, gdy przyjaciele zmieniali tryb życia, do którego o n a przywykła,

— Widzisz, kochanie, — dodała z pewną troską, patrząc na bladą twarz przyjaciółki, — nie uważam za rozsądne, abyś ze swem osłabionem sercem tak się trudziła. Te rzeczy już w twoim wieku ktoś za ciebie powinien robić...

— Moja droga, — przerwała pani Józefowa, — trzeba koniecznie trochę pomagać Feluni. Pracuje u nas od lat trzydziestu i siły jej także są słabsze. Mój mąż wyniósł z nią fotele, a dywan wytrzepał nam bezrobotny, który zawsze kopie i piele w ogródku. Tak rozłożona praca nie męczy, a to tak miło gdy dzieci zastaną wszystko w porządku, jak za dawnych czasów — przytem, — dodała z uśmieszkiem, — chcę córkom zawsze dawać przykład jak utrzymywać dom.

— Co za przesada! czyżby nie były tak porządne jak ty, kochanie?

— Może w gruncie i są takie, tylko czasu nie mają. Kasia pracuje w biurze i pomaga mężowi, teraz taka moda, a Rozalka jest niesłychanie społeczna i pełno ma czynności po za domem: to świetlica dla analfabetów, to misje w Australji, to teatr dla niewidomych i już sama nie wiem co.

— Obyście się tylko nie pochorowali wszyscy troje z powodu tej wizyty! — rzekła pani Wanda zbierając mantylkę i torebkę.

Cóż znowu! — zaśmiała się pogodna pani Oleska. — Ciasto upieczemy, zanim przyjadą, mięso pekluję od dziesięciu dni. Zostanie sama przyjemność, bez trudu. Dzieci są wszystkie stęsknione za nami, a Walerek marzy o tem by odpocząć w domu.

— Daj Wam Boże! — westchnęła pani Wanda i odeszła.

II.

W kilka dni później, punktualnie jak na zbiórkę harcerską z różnych stron zjeżdżały poczciwe dzieci w samą wigilję urodzin matki.

Kasia była już od rana, bo lubiła jeździć nocą i ona też zebrała całą śmietankę uczuć rodzicielskich. Najwięcej ją oglądano i ściskano, podziwiając ładny kostjum i korzystne uczesanie główki.

Tuliła się też najmłodsza pieszczotka do ojca i matki, dostała w prezencie staroświecką broszkę z szafirem, na którą obie siostry tajemnie miały ochotę, papa wręczył jej dla męża ładną papierośnicę z rodzinnych zbiorów i wesoło jedli obiad we trójkę. Dziecku wszystko smakowało, prócz zupy, której się bała ze względu na linję i trochę przyciężkiej leguminy wyrobu Feluni. Zresztą rozbef, szparagi, sałata zyskały uznanie.

Na rozmowie czas przeszedł do kolacji.

Pan Oleski nie położył się po obiedzie na zwykłą drzemkę, tak się radował widokiem Kasi, mimo że pani Józefowa z troską patrzała na jego bladość i mówiła półgłosem córce, że to wielki nierozsądek. Rozalka miała przyjechać o 9-ej wieczór, a lubiła nocne gawędy, zwłaszcza, że ma tyle do opowiadania o swej pracy; egzotyczny zaś pociąg Walerego przychodził jeszcze później i zastrzegł on sobie listownie, że chociaż o północy ledwie zjawi się na kolonji Kolumba, to spodziewa się zastać wszystkich na nogach. Wszak gdy raz tylko na rok przyjeżdża się do kraju... to oczywiście pierwszy wieczór i t. d.

Wszystko tedy odbyło się według zamówionych życzeń „dzieci" i rodzice byli „na nogach" o północy, a potem starali się siedzieć sztywno na fotelach i z uśmiechniętemi błogo twarzami słuchać jak d z i e c i wszyscy troje razem, prędko i niezupełnie wyraźnie, używając często modnej gwary, z rozmachem opowiadają.

Pan Józef do pierwszej łypał oczami, palił zagraniczne papierosy syna i starał się zrozumieć o co chodzi, wreszcie zdecydował:

— Wy mi to jutro spokojnie wszystko opowiecie, — i poszedł do swej sypialni.

Z odejściem papy rozpętała się jakby burza namiętności.

Rozalka postanowiła się wykąpać, Kasia wypakowała kufer brata i oglądała podarki, umawiali się przytem na „lumpki" po Warszawie, a wszyscy razem okazali chęć do wypicia świeżej, dobrej herbaty.

Pani Oleska nieco się stropiła.

Wprawdzie Felunia tłukła się jeszcze po kuchni, bo kolacja była późna i jakiś krem urodzinowy na drugi dzień ubijała, ale specjalne mycie wanny dla wybrednej Rozalki i naparzenie herbaty o tej porze wydało się pani domu okrucieństwem.

Więc mimo protestów dzieci poszła, by zbadać sytuację, i jakoś niedługo wjechała na tacy herbata z ciasteczkami, a wannę umyła zmęczona i kwaśna Felunia. Jakoś szarzało już na horyzoncie, gdy pani Oleska ułożyła dzieci do spoczynku, córki w salonie a Walerego na składanem łóżku w jadalni. Sama, znużona, długo nie mogła się utulić. Słyszała, jak siostry rozmawiały jeszcze chwilę półgłosem. Walery przewracał z szelestem płachtę rodzimej gazety. Wreszcie wróble zaczęły świergotać....

I wszyscy posnęli.

III.

A nazajutrz...

Nazajutrz była niedziela.

Na kolonji Kolumba drewniana, prowizoryczna kaplica nie mogła pomieścić licznych już parafian i trzeba było wcześnie chodzić na mszę, by się do Pana Boga docisnąć. To też skorzystały ze snu pana domu i gości Felunia i pani Oleska, i mimo że obie z początkiem bólu głowy, już o dziesiątej wracały ze służby bożej.

Śpieszyły, aby zdążyć ze śniadaniem.

— Felunia nastawi wodę na kawę, a ja pokraję ciasto i wędliny, — mówiła pani Oleska, dochodząc do furtki.

Tymczasem w domu słychać było niecierpliwy dzwonek pana Józefa, który się przebudził i nie dostał jeszcze gazety.

Weszły obie z Felcią przez kuchnię i zastały wszystko w ruchu.

Kasia była już w łazience, Rozalka gwarzyła z ojcem, a Walery szturmował do Ka-

si, by prędko ustąpiła mu miejsca, bo już zaczynał się spieszyć.

Pani Oleska przemknęła cicho do przedpokoju, zrzuciła płaszcz, kapelusz i wracając przez jadalnię zebrała szybkim ruchem pościel Walerka w zgrabny tobołek, otworzyła okno i zabierała się do misternego składania łóżka, gdy wszedł syn.

— Co też mama robi! — zawołał. — Trzeba było mnie zawołać, albo Felcię.

— Daj-że pokój! Felunia pilnuje śmietanki, — odrzekła matka oburzona.

W mgnieniu oka nakryła stół do śniadania i sprzątnęła drobiazgi Walerka, rozrzucone po krzesełkach. Poczem zajrzała do salonu.

Tam był jeszcze beznadziejny nieład: rozbabrane kanapy ,pootwierane kuferki, więc przymknęła drzwi z westchnieniem i wróciła do czystej jak złoto kuchenki.

Przysiadła na taburecie i zajęła się krajaniem wędliny, którą już jej Felcia przyniosła ze spiżarni.

W pół godziny później ojciec i dzieci przy jadalnym stole czekali na nią z upominkami i pocałunkami i to pierwsze wspólne śniadanie było bardzo miłe.

Wprawdzie ojciec znowu nie chwytał tempa i nie rozumiał co córki i syn gadali i z czego się śmieli, a pani Marja nie miała dość na to skupionej myśli, bo ciągle im coś na talerze dokładała, ale wyglądało wszystko razem wesoło, i nawet Felcia, mająca głowę zawiązaną od migreny, przystawała we drzwiach jadalni, aby się młodemu państwu przypatrzeć.

Było już po jedenastej, gdy matka napomknęła, że na kolonji suma już zaczęta kazaniem i wartoby z domu ruszyć temu, kto się spóźnić nie chce na mszę świętą.

Na te słowa obie młode panie zerwały się, by pozbierać sukienki, a Walery jak błyskawica pomknął do łazienki, gdzie się zamknął z trzaskiem.

— Otóż go macie! — zawołała z salonu Rozalka, — a ja tam zostawiłam połowę rzeczy! Kiedyż my się dostaniemy?

— Spokojnie, Róziu, — rzekła Kasia, wykończając tualetę.

Umówiłam się z nim wczoraj, że taksówką zawiezie nas do miasta, a tam zawsze znajdziemy nabożeństwo.

— Jakto! wyjeżdżacie? — spytała matka na progu salonu, a kiedyż ma być obiad?

— Moja mamo! — odpowiedziała Kasia, obiad nie przepadnie, a Walery musi być w ministerstwie i przed dwunastą oddać pocztę, którą przywiózł.

— To doskonale się składa, — zauważyła Rozalka, układając włosy przed lustrem, — będąc w mieście, mogę wpaść do Konserwatorjum i zobaczyć się ze Steinem.

— Któż to taki? — spytała pani Marja z niepokojem. Przeczuwała biedaczka niezadowolenie Feluni i przestały obiad.

— Stein? profesor śpiewu. Obiecał mi w ostatnim liście pieśni na chór dla moich bezdomnych chłopców.

— Ty zawsze myślisz o drugich, — pogłaskała ją matka po głowie.

— Taki bziczek, jak każdy inny, — rzekła Kasia, — świata nie widzi poza swemi dziećmi. Dobrze, że córki wsadziła do internatu w klasztorze.

— Niech mama powie smarkuli, żeby mi nie urągała, — półżartem odparła Rozalka. Niech pilnuje swego krótkiego nosa, może podrośnie.

— Władzio właśnie taki lubi! — z dumą stwierdziła Kasia.

— Panny gotowe? — zawołał Walerek wchodząc wyświeżony, w nowiuteńkim garniturze, w zabójczo dystyngowanym krawacie i pachnący dyskretną, urocza wonią. Rożek chustki wyglądał z kieszonki. Pani Oleska mocno zawiedziona w swych planach machinalnie zaczęła robić porządek w salonie.

— Mama znów się męczy, — rzekł czule Walerek, jakby nie było Felicji na świecie.

Matka zwróciła nań smutne nieco oczy i zadała niedyskretne pytanie:

— Kiedy można was oczekiwać na obiad?

— Koło drugiej, trzeciej, — czy to można tak dokładnie powiedzieć, gdy się jedzie do miasta, — rzekł, spoglądając na zegarek.

Wziął tekę pod pachę, zwołał siostry i wszyscy troje ruszyli raźnym krokiem do stacji taksówek, widniejących opodal.

— Więc kiedyż ma być obiad? — rzuciła za nimi matka. Ojciec lubi punktualność.

— Zatelefonujemy! — zawołali chórem i zniknęli na rogu alejki w blasku majowego słońca.

Pani Oleska podreptała po ścieżce do domu i, nie wołając Felci, która kładła do pieca pierożki drożdżowe, cicho i metodycznie zbierała w salonie poduszki, koce i prześcieradła.

IV.

We środę koło piątej popołudniu sąsiadka państwa Oleskich, przechodząc koło ich ogrodu, zajrzała dyskretnie między kraty oplecione młodemi pnączami i spotkała się oko w oko z panią Marją, która stała tu, niby na czatach.

— A kuku! — zawołała pani Wanda. Co u was słychać? Nie zaglądam, bo nie chcę przeszkadzać w rodzinnych czułościach.

— Szkoda, że nie zajdziesz, skróciłabyś mi minuty oczekiwania, a ja tak nie lubię czekać.

— No! przecież przyjechali?

— Jeszcze w sobotę, najściślej co do godziny. Ale też już Warszawa porwała ich w swoje szpony i mało ich widuję, a co gorsze, czekam ciągle, to z obiadem, to z kolacją....

Felunia jest wciąż w najgorszym humorze.

— Wcale się nie dziwię, — rzekła z przekonaniem przyjaciółka.

— A pan Józef?

— Staram się, by jak najmniej zmieniał tryb życia, więc biuro, obiad, drzemka i tak dalej. Co do mnie, to ciągle się spodziewam Kasi lub Rozalki i musimy być z Felunią w pogotowiu.

— Czy i pan Walery taki nieuchwytny?

— O! ten prócz spóźnionego obiadu w niedzielę nie jadł u nas ani razu. Zawsze tylko słyszę, że ma się z kimś spotkać na śniadaniu u Simona i Steckiego, wieczorem bywa w Café-clubie i pełen życia i humoru wraca koło pierwszej w nocy. Wczoraj byli wszyscy w teatrze.

— Jakto! pełen życia? przecież nie czekasz na nich!

— Żebyś ich miała tak jak ja raz lub dwa do roku, to nie żałowałabyś tych godzin, które zostają niedospane.

— Wolę moje pieski, — odrzekła pani Wanda, — siedzą koło domu, a jeśli czasem wyjdą, to wiem, że na całą noc i nie czekam.

— Śmieszna jesteś — roześmiała się pani Oleska. Ale popatrz-no, czy to nie Rozalka biegnie Bzową ulicą. Telefonowała o trzeciej, że zaraz na obiad przyjedzie.

— Ależ teraz piąta! — zawołała pani Wanda.

Tymczasem spiesznym krokiem, zgrzana trochę nadeszła Rozalka i przywitawszy obie panie, zapytała:

— A gdzież Kasia?

— Czy miała być w domu przed wieczorem? — zdziwiła się matka.

— Jakto! przecież postanowiłyśmy zjeść obiad z rodzicami, to było od rana umówione. Gdy z nią rozmawiałam ostatnio, czekała w Europejskiej na Walerka, potem ja przymierzałam kostjum i oto jestem. Podobno znów idziemy do teatru. Ależ ta Kasia.

Pani Wanda pożegnała się dyskretnie, choć bardzo była ciekawa, jak się rozwiąże kwestja obiadu o trzeciej, gdy było po piątej, i jak siostry zdążą radować rodziców swą obecnością i być na czas w teatrze.

Wiadomo! komunikacja tramwajowa z kolonją Kolumba pozostawiała wiele do życzenia.

Gdy matka z Rozalką weszły do domu, w hallu odezwał się telefon. To Kasia dawała znać, żeby nie czekano na nią, bo spotkała koleżankę z klasztoru i razem poszły na obiad, że niema dziś teatru, lecz Walery zdobył bilety na ostatnie przedstawienie szopki politycznej i mają się z nim zejść o dziewiątej...

— Pocóż wracałam do domu, można było nie przebierać się, a opuściłam tak ważne posiedzenie K. P. Cesu.

— W każdym razie zjedz obiad, — rzekła pani Oleska, gdy Felunia wnosiła wazkę z dymiącą, gorącą zupą.

— To już może zacznę od mięsa, Feluniu, — bolejącym głosem oświadczyła Rozalka, — i dasz mi potem mocnej herbaty.

Pani Oleska niespokojnie spojrzała na marsowatą twarz gosposi i siadła do stołu asystując córce. Ciekawa była przytem, co obie z Kasią robiły od rana w tej szumiącej Warszawie, aby choć z opowiadania brać udział w ich życiu.

Lecz Rozalka pogrzebała w potrawach podanych przez Felunię, przy herbacie połknęła proszek na ból głowy i położyła się.

Skoro po godzinie snu córka wstała odświeżona, zobaczyła się z ojcem, wyładowała z głowy trochę wiadomości a z torebki mnóstwo obciążających papierów, notatek i prospektów i w innej sukni i kapeluszu ruszyła znów do przystanku tramwajowego. Pani Oleska usiadła na fotelu i nie umiała przez chwilę niczem się zająć.

— Dziwna rzecz, — dumała, — tak mało ich widzę, tak niewiele czasu nam zabierają, a taka się czuję zmęczona. Widocznie starość zbliża się szybkiemi krokami. Ma rację Wanda, nie trzeba tak ciągle czekać po nocach na dzieci. Położę się dziś wcześnie i jutro będę rzeźwiejsza.

— Co to, Feluniu? — spytała wchodzącej gosposi.

— A to! że nasza młoda pani zostawiła w sieni na stołku klucze od furtki i od domu.

— Nie może być! — zawołała pani Oleska, zapomniała, przebierając się; wzięła ze sobą inną torebkę.

— Pan Walery też nie wziął kluczy. Mówił rano, że za ciężkie. Co to będzie!

— Nie ma o czem długo gadać, — wtrącił pan Oleski, który od pewnej chwili słuchał rozmowy. Ja sam otworzę drzwi i furtkę, tylko Maryńciu przygotuj mi szlafrok i filcowe buty, i obudź mnie, jak usłyszysz dzwonek.

— Felicja nich idzie spać i nie czeka na tych pędziwiatrów.

I tak się wszystko doskonale ułożyło.

A gdy była trzecia godzina nad ranem, skruszona trójka dużych dzieci zastała furtkę ogrodu otwartą, a w hallu na leżaku czuwała matka, która po swojemu kwestję rozwiązała.

V.

Czwartkowy dzień rozpoczął się późno, ale zapowiadał się bujnie. Walery został na wczesnym obiedzie i załatwiał około dwudziestu telefonów, umawiając się na piątek z tuzinem osób, których nie zdołał przychwycić poprzednich dni.

Znoszono też paczki obstalowane w magazynach przez Rozalkę i Kasię. Siostry przymierzały nowe płaszcze, peleryny, kapelusze i ruchu było dość, zwłaszcza że pani Oleska była wzywana do roli sędziego.

Po obiedzie wprawdzie Walery i Rozalka rozbiegli się na miasto, ale wieczór w domu był murowany, bo postanowiono urządzić bridża z dodatkiem dwóch kolegów Walerka, mieszkających na kolonji.

Kasia zabrała się do przyrządzenia zimnej kolacji i szłoby jej to zgrabnie, gdyby nie posyłała ciągle Felci do spółdzielni, a Felcia zapomniała co miała kupić, a także czego dostać nie mogła, nie potrafiła zastąpić czemś innem.

Jakoś do dziewiątej wszystko z energiczną pomocą pani Oleskiej było gotowe, gocie z Walerym i Rozalką zasiedli przy zielonym stoliku, a Kasia to w roli kibica, to wice-gospodyni wesoło kręciła się po pokojach. Starsi państwo po kolacji usunęli się do sypialni z mocnem postanowieniem, że się położą i zasną o przyzwoitej porze. Z jednem się tylko nie obliczyli, że mały dworek nie posiadał takiego kąta, gdzie możnaby się odosobnić i o niczem nie wiedzieć.

Bridż był nadzwyczaj udany, sądząc po wybuchach śmiechu, które co pewien czas przerywały sen pana Oleskiego i po tem, że goście opuszczali dom w biały dzień, co znowu zaniepokoiło czujne pieski rozmaitych ras, strzegące willi na kolonji Kolumba. Pani Oleska słyszała pełna niepokoju, że kilka razy gotowano czarną kawę, lecz dała była słowo Kasi, że się z łóżka nie ruszy, aby zastępować Felunię i jakoś wytrzymała.

Sobota była smutnym dniem rozstania.

Pan Oleski wrócił wcześniej z biura, aby nie tracić widoku dzieci, a Walery obiecywał sobie, że się wkońcu z rodzicami nagada i zabrawszy pocztę z ministerstwa wróci przed wieczorem.

Niezupełnie program ten wykonał, bo póki sklepy były otwarte, robił sprawunki dla żony i ekwipował siebie, a gdy obładowany paczkami wypłynął z auta przed domem, to był tak zmachany tym tygodniowym „odpoczynkiem w kraju", że go matka ratowała kroplami na serce.

Leżał na sofie w pokoju rodziców, a ojciec mierzył krokami dwie łączące się komnatki i radził mu zostać jeszcze dwadzieścia cztery godziny i wyjechać nazajutrz.

Walerek jednak nie zmieniał nigdy programu, więc wkrótce zebrał się z otomany i zaczął trudną pracę pomieszczenia w walizkach niezliczonych pakunków, jakie w swej rozczulającej miłości dla żony nagromadził przez pobyt w Warszawie.

Pan Józef z aprobatą oglądał podarki synowej i rad był, że syn pielęgnuje tradycję rodziny, której kroniki o samych wzorowych mówiły małżeństwach.

Kasia i Rozalka napełniały pokoje gwarem swych głosów, a pani Marja, pomagając córkom w zbieraniu rozproszkowanych drobiazgów, przysiadała od czasu do czasu na jakiemś krześle i starała się wyzyskać ostatnie chwile ich pobytu, by się wielu niedopowiedzianych rzeczy dowiedzieć i mieć niejasny bodaj obraz ich najbliższych zamierzeń.

— Ale na mnie już czas! — zawołał Walery z pokoju rodziców.

— Jakto kochanie! a ostatnia kolacja razem?

Tu zerwała się pani Oleska, zagrożona w matczynej pieczołowitości, żeby swe zmęczone, niedospane dzieci choć raz przyzwoicie przed drogą nakarmić.

— Moja mamo, jeśli już koniecznie mam jeść, to zaraz, bo ledwie pół godziny zostało, — rzekł Walery.

Zebrali się więc wszyscy razem, ale nie było ani apetytu, ani humoru.

Pan Józef patrzał smętnie na córki i syna i nie wierzył, żeby jutro już ich nie miał słyszeć wkoło siebie.

Pani Oleska te same miała w sercu uczucia, w tem moralnem sercu, które kocha, tęskni i drogiej obecności pożąda, ale mięsień sercowy, czujny gospodarz jej ziemskiego życia, przypominał co chwila, że w ostatnich dniach trochę zawiele od niego żądała.

Wskutek tego była jak ołępiała, a jednocześnie nerwowa i niespokojna.

Wreszcie przyszła nieubłagana godzina rozstania; pan Józef rozwinął wielką energję, dyrygując wynoszeniem walizek, dawał dobre rady, których nikt nie słuchał, i troskliwie otulał żonę wyprowadzającą dzieci do taksówki.

A gdy skończyły się uściski i błogosławieństwa na drogę, gdy na w porę znalezioną dłoń Feluni spadły pięciozłotówki i zawarczał motor odjeżdżającego samochodu, wtedy państwo i wierna ich stara gosposia wrócili do pustego domu.

We wszystkich pokojach i w sieni paliły się lampy, na stole w jadalni zaledwo ruszone stały zakąski, których tyle matczyne ręce od tygodnia przyrządzały, w całem mieszkaniu trwała jeszcze woń perfum i wschodniego tytoniu, a już zasnuwała się ta jednostajna cisza tak wroga młodym, a starym sercom tak pożądana. Obejmowała ona czule dwoje wiekowych ludzi, szeptała do uszu prawdę, której nie rozumieli, że nie da się starym dzielić życia z młodymi. Inne, inne jego tempo...

— Szkoda, że już ich niema, — wyrwało się nagle z głębi duszy matki, gdy wyczerpana opadła na fotel.

— Mogli byli posiedzieć jeszcze kilka dni, przywtórzył pan Józef, wspominając same dobre strony tych odwiedzin.

— A niech to ręka Boska broni! — mruknęła pod nosem Felunia, zbierając ze stołu, i postanowiła poratować nazajutrz nadwątlone siły krzepiącą wizytą w Kasie Chorych.

Anna Zalewska.

ŻOŁNIERZ CHRYSTUSOWY

Wszystko, co się na świecie dopełniło, jest zewnętrznym, materjalnym wynikiem, jest praktycznem wcieleniem i urzeczywistnieniem myśli i uczuć, zesłanych na ten świat jednostek wielkiego serca i umysłu.

Bije od nich żywe źródło światła i ciepła, obok którego miło i dobrze jest przebywać.

Praca nad wydobyciem z mroków niepamięci takich jednostek, jest nietylko nęcącą i ciekawą, ale i bardzo wdzięczną, naród polski bowiem, w dalekiej i bliższej przeszłości, wydał wspaniałe, nie mające sobie równych typy moralne, które promienieją całą pełnią najwyższego majestatu człowieczeństwa.

W szarem, smutnem pasmie, jakie dzisiejsza rzeczywistość snuje dokoła nas, gdy egoizm i karjerowiczostwo wśród licznych odłamów społeczeństwa szerzy się jak zaraza, a zainteresowanie li tylko sprawami materjalnemi, wywołane zresztą ciężkiemi warunkami bytu, stało się główną, jeżeli nie jedyną troską szerokich mas, gdy zanika coraz bardziej zdolność do poświęceń, łamią się charaktery, a siła woli słabnie zatrważająco z posępnych pustkowi Madagaskaru, jak świetlana zjawa wynurza się postać polskiego kapłana, który całe swe życie uczynił łańcuchem olbrzymich trudów i nadludzkiego wprost poświęcenia.

W r. 1898 przybył do Tananariwy na Madagaskarze ksiądz z zakonu Jezuitów, Polak z pochodzenia, ojciec Jan Beyzym.

Przybył tu dobrowolnie, na własne żądanie, aby zorganizować pomoc dla chorych na trąd mieszkańców tej wyspy, czarnych Malgaszów, o których rząd francuski, władający Madagaskarem, nie troszczył się wówczas zupełnie.

Ks. Jan Beyzym pochodził z zamożnej rodziny kresowej, wywodzącej się od Druckich-Horskich. Pra-pradziad ks. Jana, zwany z tatarska Bey-Zymem, za zasługi i męstwo okazane w bojach z tatarami, otrzymał od W. Książąt litewsko-ruskich klejnot szlachecki i rozległe ziemie, położone nad rzeką Chomarem na Wołyniu. Od nazwiska swego przezwał majątek ten Beyzymy Wielkie. Dobra te, przechodząc z ojca na syna długie wieki pozostawały w tej rodzinie.

W starym dworze w Beyzymach urodził się dnia 15 maja 1850 r. przyszły misjonarz-męczennik z ojca Jana i matki Olgi hrabianki Stadnickiej.

Gdy wybuchło powstanie 63 r., mały Janek przebywał z matką w Onachowicach w pow. Zwiahelskim. Ojciec jego walczył w szeregach powstańczych, aż wreszcie zmuszony do opuszczenia kraju udał się do b. Galicji i tam przez władze austrjackie zaaresztowany, osadzony został w więzieniu w Ołomuńcu.

Spowodu zniszczenia przez kozaków dworu w Onachowicach, pani Beyzymowa z synkiem wyjechała do siostry swej ze Stadnickich Górskiej i zamieszkała w jej majątku Śledzie na Podolu.

W r. 1864 Janek oddany został do gimn. w Kijowie i ukończył je w r. 1870. W dwa lata potem wstąpił do nowicjatu OO. Jezuitów w Starej Wsi (w b. Galicji). Po otrzymaniu święceń kapłańskich, został wychowawcą w internacie dla młodzieży księży Jezuitów w Tarnopolu. Gdy zakład przeniesiony został do Chyrowa w 1887 r., ks. Jan opiekował się przez 11 lat młodzieżą szkolną w wieku przejściowym, więc najtrudniejszą do prowadzenia, wykazując niezwykłe zdolności pedagogiczne.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, surowych, twardych, nieco mongolskich rysów twarzy, o szorstkim głosie i ruchach. Ale ta pozorna szorstkość i surowość, jak to często bywa, ukrywała serce niezwykle szlachetne i wrażliwe na ludzką niedolę, pełne miłości bliźniego, zdolne do największego poświęcenia i zaparcia się siebie.

Pewnego razu do rąk jednego z kleryków w Chyrowie dostała się broszura p. t. „Trzy lata między trędowatymi", która wywarła tak wielkie wrażenie na młodym, uczuciowym młodzieńcu, że zapragnął on poświęcić się pielęgnowaniu tych najnieszczęśliwszych.

Z projektów swoich zwierzył się on O. Beyzymowi, prosząc go o pomoc w uzyskaniu pozwolenia wyjazdu u władz przełożonych.

Ale O. Beyzym sam zapalił się do tej misji i gdy kleryk, ze względu na zbyt młody wiek, pozwolenia nie dostał, on, po długich staraniach zdobył je dla siebie i w dniu 17 października 1898 r. wyjechał na Madagaskar.

Warunki, w jakich odbywał swą podróż i w jakich znalazł się na miejscu, mogły przerazić najbardziej nawet zahartowane serce, złamać najsilniejszą wolę!

Kraj, w którym miał spędzić resztę swego życia — to posępne, żałobne pustkowie, bez drzew, bez ptaków, ubogie, brzydkie, nędzne...

Schronisko dla trędowatych w Amba-

biwuraku, w którem znajdowało się 150 chorych, nie miało żadnych najbardziej choćby prostych urządzeń zdrowotnych. Rząd francuski, prowadzący wówczas ostrą walkę z kościołem, bardzo niechętnem okiem patrzył na opiekę nietylko pielęgniarską, ale i duszpasterską, jaką ten kapłan katolicki otoczył swe nieszczęsne „czarne pisklęta" — jak je zwykle nazywał.

O. Beyzym dostaje rozkaz zajęcia się najcięższej chorymi, tymi, których już trąd stoczył, oszpecił, uczynił kalekami odrażającymi i groźnymi dla otoczenia. W szpitalu chorzy Malgasze nie mają nietylko żadnej pomocy lekarskiej dla ulżenia w cierpieniach, ale nawet brak im pożywienia.

Aby więc wyżywić tę liczną, a z dnia na dzień zwiększającą się gromadę nędzarzy, ks. Beyzym pisze błagalne listy o pomoc do swych przyjaciół w Polsce i chodzi od domu do domu w Tananariwie, zbierając resztki jadła. Wróciwszy do schroniska, zajmuje się gotowaniem, karmieniem najbardziej niedołężnych chorych, a resztę czasu jest sanitarjuszem, lekarzem i uczy się nagwałt po nocach malgaskiego języka, aby móc bezpośrednio porozumiewać się z krajowcami i przez szerzenie nauki Chrystusowej nieść pociechę i w mrocznych, pełnych głuchej rozpaczy duszach budzić nadzieję nagrody za to morze cierpień!...

I oto dzięki jego nadludzkim staraniom, śmiertelność się zmniejsza, a warunki zaczynają się zmieniać na lepsze. Zyskuje też wśród Malgaszów taką cześć, miłość i wdzięczność, że gdy władze francuskie przeniosły go na inną placówkę wgłąb wyspy, ciężko chorzy na swych okaleczałych nogach podążyli piechotą przeszło 395 kilometrów, byle tylko dostać się pod skrzydła swego opiekuna.

W tym czasie porywa się on na zadanie, które ludziom przeciętnym wydaje się istnem szaleństwem. Postanawia mianowicie wybudować nowe wielkie schronisko i rozpoczyna starania o znalezienie odpowiedniego miejsca na prowincji, a znalazłszy je, mimo tysięcznych przeszkód i utrudnień, za pieniądze użebrane w Polsce rozpoczyna budowę szpitala dla 200 trędowatych. Pracuje sam własnoręcznie przy wznoszeniu tego gmachu, a zdrowsi spośród trędowatych dopomagają mu w tej robocie z niezwykłym u czarnych zapałem i gorliwością.

Wreszcie po latach niesłychanych trudów i wysiłków stanął w Ambatuwari szpital 1911 roku. Gmach to był zupełnie nowoczesny, urządzony według zasad higjeny, obszerny, czysty, z łazienkami, ogrodem, mający też własną kaplicę z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, której cześć bardzo się wśród Malgaszów rozpowszechniła.

Ale siły O. Beyzyma zaczynają się wreszcie wyczerpywać.

Kilkanaście lat żyje on w warunkach poprotu straszliwych, wśród istnych potworów ludzkich, cuchnących, żywych trupów!...

Ludzie zdrowi z trwogą zbliżają się do niego, to też nie chcąc ich przerażać, albo zarazić, styka się z nimi tylko w koniecznych wypadkach i z zachowaniem wielkich ostrożności. On sam zato nie lęka się niczego. Nie mając maski, ani rękawiczek, podaje chorym jedzenie, robi opatrunki, obwija ręce i stopy bez palców. Robi to wszystko z niezmąconą pogodą i cierpliwością, nie myśląc o sobie, ani o swoich potrzebach. Wystarcza mu cztery godziny snu, trzy garstki ryżu i czarka herbaty albo wody. Czyż nie uczynił oddawna ofiary całopalnej ze swego życia?...

Gdy po kilku latach pobytu wśród trędowatych jeden z odwiedzających go kapłanów wyraził zdumienie, że tak żyjąc jeszcze się nie zaraził, O. Beyzym odchylił rękaw i pokazał ramię, na którem powiększała się pod skórą fioletowa plama.

— Nikt o tem nie wie, — rzekł, — ale ty zobacz.

Trąd ogarnął wkrótce całe jego ciało... Zmarł 2 października 1912 roku.

— — — — — — —

Czarni jego przyjaciele wśród jęku i szlochów, złożyli zwłoki męczennika na chórze szpitalnego kościoła, postawili w głowach krucyfiks i przywieziony z Polski ukochanej przez O. Beyzyma obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a całą trumnę zasypali kwieciem lilij białych, na pustkowiach jałowych Madagaskaru ręką jego wyhodowanych.

Potem wykopali grób na cmentarzu trędowatych, aby ten, który ich tak ukochał i ojcem im był najlepszym, już na wieki wśród nich pozostał...

Nie wygłoszono nad mogiłą jego mów pochwalnych, nie łopotały nad nim liczne sztandary, nie brzmiała muzyka, nie szli za jego trumną w złotem kąpiących mundurach dygnitarze, ani delegacje z wieńcami, nie oddano salw honorowych...

Na okaleczałych nogach szła tylko płacząc i zawodząc gorzko gromadka jego czarnych osieroconych piskląt.

W nieznanych, dzikich ostępach, zdala od kraju i rodziny — legł cicho ten żołnierz Chrystusowy, by złożyć świadectwo najwyższego pojmowania miłości Boga i bliźniego!

Zofja Guzowska.

Najradośniejsze dni w życiu

To żadna zagadka. Naturalnie — dzień pierwszej komunji św. i dzień ślubu. Może nawet pierwszy z nich promieniuje pełniejszem, szczerszem szczęściem—tak napewno, bo to i bez ryzyka i bez obawy: „co mnie czeka?..." W taki dzień to i słoneczko świeci nam inaczej niż zwykle, cała przyroda, kwiatki, ludzie — wszystko uśmiecha się do nas, weseli się z nami... A najbardziej starają się rodzice, by przez całe życie krzepił serce dziecka obraz tej promiennej wyspy szczęścia na szarym, bezkresnym oceanie codziennych trosk, smutków, bólów...

I właśnie dlatego gnębi panią Izę serdeczna troska. Jej słodka Krysia ma za kilka dni po raz pierwszy przystąpić do stołu Pańskiego. Chciałoby matczyne serce swemu dziecku przychylić nieba, by w tym dniu nic nie zamąciło jej szczęścia i radości. A tu — pani Iza wyczuwa, że jej Krysia domyśla się wszystkiego i że właśnie dlatego zapewnia ją, że nie potrzeba jej nowych, białych bucików — te zeszłoroczne są zupełnie dobre, a i białą sukienkę, weźmie tę, którą nosi od dwóch lat — mamusia potrzebuje tylko trochę ją przerobić... Matka nie żałowałaby serdecznej krwi — ale te kilkanaście złotych... skąd je wziąć... nikt nie chce pożyczyć... Mężowi znowu obcięli pobory... Już nie wie, jak związać koniec z końcem... Niedostatek, poprostu bieda... Teraz ta uroczystość Krysi...

Mąż jakoś nie przejmuje się, niczego nie widzi, przeciwnie wesoło sobie pogwizduje — może nawet weselej, niż dawniej. Ot, właśnie wraca znowu roześmiany, jakby bawił się jej smutkiem. Już nie może znieść tego. Łzy jej mieszają się z gorzkiemi słowami skargi, żalu, może i wymówek. A on z pogodną flegmą: „Hm, a ilebyś tak potrzebowała?" Jeszcze kpij sobie ze mnie i z Krysi, jakbyś miał 100 zł nazbyt". „A może — nawet może więcej.— No chodź kochana stara i Krysia też, Krysiu, Krysiu, chodź, popatrz"...

I położył na stół kilka papierków, razem coś 330.— zł. Pani Iza oniemiała. Skąd jej Michaś ma tyle pieniędzy? Jak mógł zarobić je uczciwie w tych ciężkich czasach? „No widzisz Kochana. Teraz biadasz, że nie mamy nawet na sukienkę dla Krysi do pierwszej Komunji św. A czy pomyślałaś o tem już dawniej i powoli odkładałaś coś niecoś grosza?" „Tak, składałam na książeczkę oszczędnościową". „A jak potrzebowałaś, to wybierałaś z niej i już w zeszłym roku wybrałaś resztę. A ja zaraz, gdy Krysia się urodziła, ubezpieczyłem ją i chociaż Ty wtenczas sprzeciwiałaś się, wykupiłem potajemnie polisę i opłacałem składki. To były te 3 złote, które co miesiąc zatrzymałem niby na osobiste wydatki. W poprzednich latach nie odczuwaliśmy wcale tego wydatku. Zresztą te 3 złote byłyby napewno i tak się rozleciały i dzisiaj nie mielibyśmy nic. A tak teraz, gdy Krysia skończyła 10 lat, wypłaciła „Vesta" tę całą sumę — bo „Vesta" jest jedynem w kraju towarzystwem, które ubezpiecza też dzieci. — Kto dbał troskliwiej o naszą Krysię — Ty czy ja?"

KONKURS NA REFERAT

Warunki konkursu:

Zarząd Główny Związku Pań Domu ogłasza konkurs na pracę referatową p. t. „Gospodarstwo domowe, jako część gospodarstwa narodowego", na następujących warunkach:

1) Referat przeznaczony jest dla pań domu i ma na celu podkreślenie ważności i wykazanie znaczenia gospodarki domowej w całokształcie gospodarki narodowej (państwowej i społecznej).

2) Referat winien być opracowany rzeczowo i ciekawie ilustrowany liczbami, wykresami lub t. p. na podstawie źródeł naukowych polskich i zagranicznych z zakresu ekonomji społecznej.

3) Rozmiary referatu oznacza się na 300—400 wierszy, wiersz po 60 znaków pisarskich, pismo maszynowe.

4) Referat winien być zaopatrzony godłem, z dołączeniem zapieczętowanej koperty, zaopatrzonej takimże godłem, zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autorki lub autora.

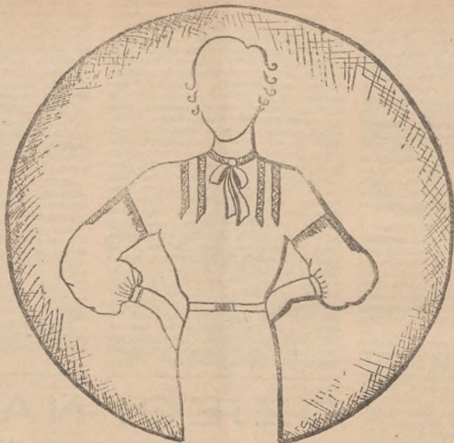
5) Termin nadesłania gotowego referatu do Zarządu Głównego Związku Pań Domu, Nowy Świat Nr. 9, wyznacza się na 1 stycznia 1937 r.

6) Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lutym 1937 r.

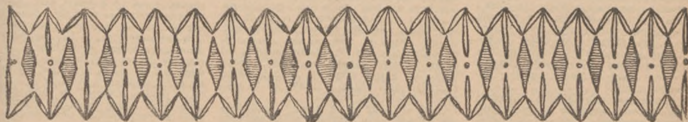
7) Nagroda za referat, przyjęty przez sąd konkursowy i uznany za najlepszy, wynosi zł 100.

8) Sąd Konkursowy stanowi Zarząd Główny Związku Pań Domu oraz Komisja Kwalifikacji Wydawnictw przy Instytucie Gospodarstwa Domowego.

Zarząd Główny Z. P. D.



Bluzeczka haftowana.



Model, przedstawiony na rysunku, wykonany jest z kremowej wełnianej żorżety. Haft w barwach: żółtej, po-marańczowej i bronzowej. Kropki żółte, środki pomarańczowe, brzegi bronzowe.

Franciszka Hodczyńska

AUTORKI POLSKIE XIX W.

Kobieta w łodze filozofa

Przeżywamy obecnie ciężki dla wszystkich okres kryzysu, ogólnego zbiedzenia i panoszącego się szeroko bezrobocia. W okresie tym, gdy kobiety stanęły do pracy narówni z mężczyznami, gdy współzawodniczą z nimi na każdem polu, w każdym zawodzie, zaczyna się znowu dyskusja na temat: czem powinna się zajmować kobieta? Czy to niczem nieograniczone współzawodnictwo powinno istnieć? Czy jest ono zdrowe? Zagadnienie to: czem się powinna zajmować kobieta, nie dzisiaj powstało. Interesowało ono ludzi już w XIX stuleciu, było przedmiotem wielu artykułów i polemik w pismach, tematem licznych rozmów.

— Czem się powinna zajmować kobieta?...

— Domem i dziećmi, — mówili jedni.

— Wszystkiem, co piękne i dobre, — mówili drudzy.

— Tem tylko, czem się nie chce i nie potrzebuje zajmować mężczyzna, — twierdzili trzeci.

Byli i tacy, którzy mówili bez ogródek:

— Niech się zajmować probuje, czem tylko zechce. Wkrótce pozna kobieta, że jest zdolna tylko i wyłącznie do tych zajęć, które jej natura przeznaczyła: do chowania dzieci, prowadzenia domu, zdobienia życia miłością i uśmiechem.

Dyskusje były i są tylko teoretycznemi dyskusjami, a życie — jest życiem. Idzie ciągle naprzód w stopniowym rozwoju. Mogły kobiety z przed kilku wieków znajdować cel jedyny w prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci, — wiek XIX musiał przynieść krok naprzód. Wypadki polityczne, ruch kulturalny i literacki, „prądy emancypacyjne", krążące w powietrzu, olśniły i porwały kobiety. Kobieta przestała być tylko matką i tylko panią domu: zapragnęła wolności, uznania swych praw, a przedewszystkiem wykształcenia!, wykształcenia w każdym kierunku, stosownie do zdolności, możności studjów najrozmaitszych, możności nauki!

Nie odrazu pragnienia te, chociaż szerzyły się szybko wśród różnych warstw społecznych i w rozmaitych krajach, zostały zaspokojone. W Polsce umożliwienie kobietom nauki i wykształcenia nie poszło łatwo. Polacy bali się jak ognia hasła „emancypacja kobiet", najzdrowsze nawet dążenia, jeśli dotyczyły w czemkolwiek praw kobiety, wydawały się ogólnej opinji publicznej polskiej rewolucyjnemi i wprost niemożliwemi do przyjęcia. Tak samo było i z hasłem wykształcenia dla kobiet. Sa-

ma myśl dopuszczenia kobiet do studjów uniwersyteckich wywoływała wśród najinteligentniejszych ludzi serdeczny śmiech lub pogardliwe wzruszenie ramionami. Żądne nauki i oświecenia kobiety mogły się zwrócić wyłącznie do wykształcenia książkowego. Że i to książkowe wykształcenie mogło wiele uczynić, świadczy najlepiej fakt, że przed siedemdziesięciu i osiemdziesięciu laty pojawiły się w Polsce pierwsze zajęte pracą naukową kobiety, wśród których jedno z naczelnych miejsc zajmuje autorka polska XIX wieku, którą dziś kolejno omówimy: Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka „Kobieta w todze filozofa". Była bowiem Eleonora Ziemięcka pierwszą w Polsce kobietą, która oddawała się u nas naukowym studjom filozoficznym.

Przyjrzyjmy się pokrótce jej życiu.

Eleonora Gagatkiewiczówna urodziła się na Mazowszu we wsi Jasieńcach pod Czerskiem w r. 1819. Wychowaniem jej zajęli się nie rodzice, ale babka, Eleonora z Grabskich Łuszczewska. Szczęśliwe dzieciństwo i duże wykształcenie dała wnuczce ta dobra i mądra kobieta. Posłuchajmy, co nasza pierwsza filozofka mówi sama o swojem dzieciństwie:

„Wielka pieśń myśli i poezji kołysała dzieciństwo moje. Dzieckiem jeszcze byłam, kiedy w rodzinnem naszem gronku ukochana babka moja czytała nam wieczorami wielkich poetów naszych: Mickiewicza, Zaleskiego i innych". Oprócz poezji lubiono w tem gronku czytywać także „uczone i pełne ducha rozprawy estetyczne Kazimierza Brodzińskiego, artykuły z „Pamiętnika Umiejętności i Literatury", wydawanego w r. 1829 i 1830 przez Krystyna Lacha Szyrmę, oraz ogłoszoną przez tegoż autora w r. 1828 i 1829 „Podróż po Anglji i Szkocji".

W takiem środowisku, zajętem nauką i literaturą, szybko kształciła się i dojrzewała Eleonora Gagatkiewiczówna. W przeciwieństwie do autorek polskich XIX wieku, które dotąd omówiliśmy, nasza pierwsza filozofka szybko zajęła się pisaniem i wcześnie drukować zaczęła. Oto w roku 1830 wydawał właśnie swój interesujący „Dziennik dla Dzieci" Stanisław Jachowicz (autor znanych wierszyków dla dzieci np. „Pan kotek był chory", „Zaszyj dziurkę póki mała — Mama Andzię przestrzegała" i t. d.).

Pod koniec tego roku 1830 w „Dzienniku dla Dzieci" pojawiły się artykuliki „O historji polskiej", „Odezwa do kobiet za mową ojczystą", „O nagrodach pieniężnych za chlubne postępki", podpisane „Eleonora G." lub „E. G.". Autorką ich była dwunastoletnia Eleonora Gagatkiewiczówna. W roku 1833 (liczyła wówczas około lat piętnastu!) wystąpiła już pod pełnem nazwiskiem w „Tygodniku polskim". W tym okresie interesowała się najwięcej nasza autorka kwestją wychowania kobiecego. Ale szybko zajęła się dalszem swojem wykształceniem, a wtedy zwróciła się prawie niepodzielnie ku najwięcej interesującym ją dziedzinom: filozofji i nauk społecznych.

W roku 1834 młodziutka, bo zaledwie szesnastoletnia autorka, wyszła zamąż z prawdziwego przywiązania za Antoniego Ziemięckiego, wychowańca dawnego Uniwersytetu Warszawskiego, młodzieńca wykształconego i utalentowanego, miłośnika nauki i wiedzy. Młoda para zaraz po ślubie wyjechała do Drezna, gdyż studjował tu sam Ziemięcki, który był artystą malarzem. Po pobycie w Dreźnie młode małżeństwo zamieszkało w majątku własnym Trzylatkowie, w bliskiem sąsiedztwie babki Łuszczewskiej. Eleonora Ziemięcka wstąpiła w szranki piśmiennicze jako współpracowniczka „Magazynu Powszechnego", gdzie od 1837 do roku 1842 umieściła 16 biografij sławnych ludzi: poetów, artystów i głównie uczonych. Równocześnie w noworoczniku „Pierwiosnek", którym zajmowaliśmy się bliżej, omawiając entuzjastki, drukowała szkice, pełne uwielbienia dla nauki, sztuki i kultury niemieckiej; w artykułach tych autorka przyznaje otwarcie, „że myśl jej rozwinęła się na dziełach niemieckich". A myśl ta rozwinęła się niepospolicie. Owocem życia Eleonory Ziemięckiej są następujące dzieła: „Myśli o wychowaniu kobiet", „Zarysy filozofji katolickiej", „Rys piśmiennictwa naszego od r. 1830", „Kurs nauk wyższych dla kobiet", „Studja", „Powieści ludowe". Prócz tego w latach 1841 do 1846 wydawała i redagowała w Warszawie pismo „Pielgrzym". Umarła w Warszawie 23 września 1869 roku, jako kobieta pięćdziesięcioletnia, pozostawiając za sobą sławę pierwszej Polki, oddającej się systematycznie studjom filozoficznym. Dorobek jej samodzielny na polu filozofji nie był duży. Najwięcej tem zasłynęła, że pierwsza ośmieliła się w rozprawie drukowanej w 1842 roku w „Bibljotece Warszawskiej" wypowiedzieć zdanie, że system filozoficzny Hegla jest niezgodny z religją chrześcijańską. Pozatem zajmowała się Eleonora Ziemięcka najwięcej pisaniem pism popularyzacyjnych, tłomaczeniem dzieł filozoficznych, redagowaniem „Pielgrzyma". Nie pozostawiła po sobie rewelacyjnych odkryć naukowych, źródłowych dzieł. Zasługa jej największa leży w tem, że wskazała kobietom drogę do samodzielnych studjów naukowych, dodała im bodźca do pracy, na żywym przykładzie pokazała, że nawet najwyższa z nauk: filozofja, a za nią i wszystkie inne nauki są dostępne kobiecie, trzeba tylko chcieć pracować.

Na zakończenie przytoczmy kilka głębokich i przepięknych zdań, jakie pozostawiła nam w spuściźnie pierwsza „kobieta w todze filozofa", Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka:

„Kobieta idealizowała dotąd uczucia, potrzeba, żeby idealizowała rzeczywistość, zdobiła przyrodzoną poezję swej duszy prawdą istotną życia.

Szczęście jej zależało dotąd od drugich, — potrzeba, żeby się oparła na sobie, była bogatą w myśl i samodzielność ducha, — aby szła w świat, żeby go wzbogacić, nie zaś siebie zasilać.

Kobieta powinna być względem świata, jako matka względem dzieci, — nigdy łaski nie potrzebować".

Tak czuła i tak myślała przed siedemdziesięciu bezmała laty pierwsza polska kobieta-filozofka.

Jane.

DZIECI NA WSI

Matka, będąca z dziećmi na letnisku, zwraca przedewszystkiem uwagę na to, by pociechy jej wzmocniły się, zahartowały i opaliły, jednem słowem chodzi jej o ich rozwój fizyczny. Pobyt na wsi powinien być jednak również wykorzystany na zapoznanie dzieci z życiem i pracą wieśniaków, najpospolitszemi zwierzętami i roślinami, wreszcie wyrobienie w nich obowiązkowości, samodzielności i uwagi.

Faktem jest bowiem, że dzieci miejskie nie wiedzą o wielu najprostszych rzeczach, dla niejednego 5-ciolatka rewelacją będzie fakt, że jajko daje kura a nie robi się go w fabryce, ośmioletnie zaś nie odróżni pszenicy od gryki. Wprawdzie potem w szkole dziecko będzie się uczyło przyrody, inaczej jednak zapamięta to, co samo widziało, niż to, czego się uczyło teoretycznie.

Rzecz jasna, że niema mowy o prowadzeniu na wsi lekcji przyrody we właściwem tego słowa znaczeniu, rola matki powinna tylko polegać na zwracaniu uwagi dziecka na charakterystyczne zjawiska i czynności oraz na odpowiadaniu na jego pytania.

Odpowiedź musi być uzależniona od wieku i stopnia rozwoju dziecka i obejmująca te szczegóły, które mogą je specjalnie zainteresować.

Naprzykład: dziecko pyta o pszczołę. Wystarczy, jeżeli powiemy małemu: „to jest pszczoła, mieszka w małym domku — ulu, pójdziemy zobaczyć taki ul. Pszczoła zbiera z kwiatków miód". Starsze zainteresuje się już i tem, co pszczelarz robi, żeby go pszczoły nie pogryzły, gdy im zabiera miód; jak dają sobie one radę w zimie; a najstarsze z zaciekawieniem wysłucha opowiadań o organizacji życia pszczół.

Jedynym pytaniem nie wymagającym odpowiedzi jest „jak się nazywa ten kwiatek albo ten żuczek. Nieprzyrodniczka odpowiedzieć nie jest w stanie, zresztą dziecko i tak nie zapamiętałoby tysiącznych nazw. To też można śmiało powiedzieć: „nie wiem", a jeżeli pyta dziecko starsze wyszukać z niem nazwę w jakimś podręczniku czy atlasie przyrodniczym.

Nie chcąc, żeby powiedzenia „chleb robi się ze zboża a płótno z lnu" i t. p. pozostały dla dziecka, pomimo pobytu na wsi teorją, trzeba pokazać mu wszystkie etapy przeróbki, nietylko koszenie, młócenie, ale pójść z nim do wiatraka czy młyna. Tak samo dopiero wtedy gdy dziecko będzie śledziło koleje lnu, zrozumie i zapamięta z czego jest zrobiona sukienka mamusi.

Po tych rozważaniach ogólnych przejdziemy do szczegółów, zaczniemy od stosunku dzieci do wieśniaków i ich pracy.

Gospodarz imponuje małemu, ale jednocześnie dziwi go a nawet razi. „Czemu on nie nosi butów? Ja też będę mówił psiakość, tak jak on" — to częste powiedzenia małych mieszczuchów. Nie odpowiadajmy dziecku, bo to jest głupi chłop — a wytłomaczmy mu, że dlatego klnie, bo nikt go w domu ani w szkole nie uczył, by tego nie robił. A butów nie nosi, boby się na kamieniach prędko podarły. Ale zato gospodarz umie wiele nadzwyczajnych rzeczy: wie, gdzie są nory królicze, gdzie można złapać raki i czy jutro będzie deszcz.

Dziecko, które twierdzi, że pracuje tylko tatuś w biurze a wujek przyjmując pacjentów, zaprowadźmy do żniwiarzy — niech pomoże znosić snopy na kopki lub przewracać siano. Przekona się wtedy samo, jak ciężko pracują wieśniacy. A to, które narzeka, że mamusia każe nazbierać szyszek do pieca, niech pójdzie na parę godzin z synkiem gospodarzy paść krowy i gęsi. Może przekonawszy się, ile trzeba się nabiegać na pastwisku, chętniej usłuży mamusi.

W ten sposób nie nudząc dzieci najczęściej bezskutecznymi morałami najłatwiej nauczymy je oceniać pracę ludzką.

Reakcja dziecka na widok nieznanego stworzenia bywa dwojaka — jedno boi się wszystkiego, drugie — niczego. Rezultatem tego jest, że albo wyrasta z malca nerwowy tchórz, wrzeszczący na widok żaby, albo naraża się na niebezpieczeństwo. Znam fakt, że koń kopnął chłopaka 6-cio letniego tak nieszczęśliwie, że dziecko na całe życie zostało kaleką, pamiętając o tym fakcie uczmy dzieci ostrożności i właściwego obchodzenia się ze zwierzętami.

Zaprowadźmy synka do stajni, pokażmy, jak się podaje koniom cukier i chleb, ale upomnijmy, by z tyłu do konia nie podchodził. Zwróćmy mu uwagę, że psy nie lubią

gdy się stoi zablisko w czasie ich uczty — mogą wtedy ugryźć, że drażnienie indorów może się smutno skończyć. Nie uciekajmy z obrzydzeniem przed ropuchą, ale wytłomaczmy, czemu do ręki brać jej nie należy. Pokażmy dziecku przy okazji węża i zwróćmy uwagę, czem się różni on od jadowitej żmii. W stosunku do stworzeń małych i delikatnych uczmy dziecko stosowania reguły „nóżka naprzód, rączki wtył", gdyż łatwo jest skrzywdzić a nawet zabić kurczątko, motylka czy ważkę. Nie pozwalajmy niszczyć bezmyślnie mrowiska, więcej nauczą się nasze dzieci obserwując w różnych porach dnia spokojnie pracujące mrówki. Niechaj złapany przez wiejskich chłopaków kret w oczach dzieci zakopie się w ziemię,— jednem słowem nie obarczając pamięci dzieci nazwami, rodzajami i gatunkami, obserwujmy zwierzęta w czasie ich pracy.

Najlepszą szkołą obchodzenia się z roślinami jest własny ogródek — niestety, niewiele dzieci może go mieć. Jeżeli to jest jednak możliwe, powinny brać udział w pracach ogrodowych wieśniaków — wypleć zagonek truskawek, podlać je w czasie suszy, otyczyć groch, zbierać strąki i t. d. Starsze niech się nauczy rozpoznawać drzewo po liściach i korze, młode niech odróżni poziomki od borówek. Idąc polem, wymienimy gatunki zbóż, sprawdzimy po kilku dniach, czy dziecko pozna owies i jęczmień. Wytłomaczmy, czemu w tej wsi jest tak dużo łubinu i poco wywozi gospodarz nawóz na pole. Naogół jednak dla dzieci rośliny są mniej zajmujące niż zwierzęta, to też można się zbytnio w szczegóły nie wdawać, ograniczając się do najbardziej typowych przedstawicieli świata roślinnego. Obowiązkowość najłatwiej rozwinąć jest w dziecku, polecając jego opiece kurczątka czy kaczątka. Na widok głodnych piszczących pupilów, zrozumie, że wtedy dopiero może myśleć o zabawie, gdy nakarmiło już maleństwa, matka jednak nie powinna dopuścić do tego, by dziecko wychowanków zagłodziło.

Doskonałym sposobem rozwinięcia w dziecku spostrzegawczości jest zbieranie grzybów i jagód. Już czteroletnie maleństwo odróżni bardziej typowe grzyby np. kurki, rozpozna maślaki, nie weźmie muchomorów. Zbieranie szyszek, obrywanie strąków da dzieciom dużo zadowolenia, z pożytecznej pracy, a także nauczy je uwagi.

Nie krępujmy dziecka zanadto zakazami, niech włazi na płoty i drzewa, jeździ pod opieką gospodarza po siano i zboże, niech pójdzie samo do sąsiada po masło. Nie drżyjmy o nie ciągle, na wsi nie czyha na nie tak dużo niebezpieczeństw, niech radzi sobie samo. Samodzielność jest ważnym plusem w życiu.

Postarajmy się wyrobić w dziecku choć w wąskim zakresie orjentację terenową. Jeżeli chodzi o dziecko małe, schowajmy się w lesie i zawołajmy je, niech znajdzie matkę. Dziecku starszemu wskażmy położenie domu w stosunku do drogi i lasu, poszukajmy charakterystycznych grup, drzew, krzyżów przy szosie, nauczmy rozpoznawać strony świata po mchach porastających drzewa. Na spacerze zwróćmy dziecku uwagę, w którą stronę idziemy, niech potem prowadzi nas ono do domu. Rzecz jasna, że pomimo tych ćwiczeń żadna rozsądna matka nie puści dziecka samego do dużego lasu, ale w razie zaginięcia malca, albo na małych przestrzeniach mogą być one wielką pomocą.

Tak spędzone wakacje dostarczą dziecku nietylko zapasu zdrowia ale i miłych wspomnień, do których tak przyjemnie wrócić pamięcią w długie wieczory zimowe.

Wanda Dziewulska.

O CIŚNIENIU KRWI

Nacisk, jaki wywiera krew krążąca w naczyniach krwionośnych na ściany tychże, określa się jako ciśnienie krwi.

Ciśnienie to zależy: 1) od pracy serca, 2) od sprężystości ścian tętnic, 3) od ogólnej ilości krwi krążącej.

Praca serca ma wpływ na ciśnienie dlatego, że przy skurczu serce wyrzuca z większą lub mniejszą siłą krew do tętnic. Im z większą siłą krew wyrzucona jest z serca, tem większe ciśnienie wywiera na ściany naczyń krwionośnych, i odwrotnie, słabo pracujące serce powoduje obniżenie ciśnienia, gdyż siła wyrzutowa przy skurczu serca jest zmniejszona, jak to się dzieje np. u ludzi wyczerpanych ciężkiemi chorobami.

Wpływ stanu ścian naczyń krwionośnych na ciśnienie krwi uzależniony jest tem, że zależnie od stopnia sprężystości również może powodować zwiększenie lub zmniejszenie ciśnienia. Jeśli tętnice są mniej elastyczne, jak to zachodzi z biegiem lat u człowieka, a zwłaszcza u cierpiących na miażdżycę tętnic (sklerozę) — napór prądu krwi staje się silniejszy spowodu nieustępliwości etwardniałych ścianek tętnic, które nie poddają się prądowi krwi.

Najczęstszemi przyczynami zwiększonego ciśnienia krwi są wyżej wspomniana miażdżyca tętnic, ostre i przewlekłe choroby nerek, a u kobiet okresowo wzmaga się niemal zawsze ciśnienie w okresie przekwitania. Istnieją również dłużej lub krócej trwające skurcze naczyń tętniczych, które mogą powodować zwiększone ciśnienie krwi.

Leczenie wzmożonego ciśnienia uzależnione jest od choroby, która je wywołuje, a więc inne będzie przy miażdżycy, inne przy chorobach nerek. W przypadkach, gdy spowodu zbyt wysokiego ciśnienia zachodzi obawa o życie chorego — bez względu na chorobę wywołującą dokonuje się upustu krwi do 500 cm³ jednorazowo. Zabiegu tego jednak bez wyraźnego zlecenia lekarza wykonywać nie wolno, gdyż nie jest on dla człowieka błahym i wrazie zastosowania w nieodpowiednim przypadku może być wręcz szkodliwym.

Jako wynik wzmożonego ciśnienia i jednoczesnej kruchości zwapniałych tętnic mózgowych występuje przy miażdżycy tętnic t. zw. ataki apoplektyczne czyli pęknięcie tętnicy, a tem samem wylew krwi do mózgu. Wytłomaczyć to sobie można w ten sposób: tętnice, w których ściankach gromadzi się wapno, stają się coraz to mniej elastyczne, nie ustępują naporowi krwi — przez co ciśnienie krwi wzrasta, te twarde, zwapniałe ścianki tętnic stają się jednocześnie coraz to bardziej kruche, wreszcie nie mogą wytrzymać stale wzrastającego sie naporu krwi i pękają. Pęknięcia te zdarzają się przedewszystkiem w tętnicach mózgowych, gdyż nawet u człowieka zupełnie zdrowego posiadają o wiele mniejszą sprężystość ścianek, aniżeli tętnice pozostałe np. kończyn górnych i dolnych, tułowia, lub doprowadzające krew do wątroby i innych narządów.

Przy chorobach nerek, o ile takowe nie są leczone odpowiednio, spowodu wzmożonego ciśnienia krwi wywiązać się może obrzęk mózgu lub mocznica połączona z drgawkami. Oba te stany są bardzo groźne dla życia chorego i tylko szybka interwencja lekarza może ocalić przed śmiercią.

Objawami najczęściej towarzyszącemi wzmożeniu ciśnienia krwi są: bóle i zawroty głowy, szum w uszach, uczucie ucisku w okolicy serca.

W razach, gdy ciśnienie krwi jest niższe niż w warunkach normalnych, chory odczuwa znużenie i znaczny upadek sił. Zmniejszone ciśnienie spotyka się najczęściej u osób, które przebyły ciężkie choroby wyniszczające organizm, u osób z nienaturalnie małem sercem, i dość często u chorych na gruźlicę. Chorobą odznaczającą się wybitnie niskiem ciśnieniem, jest t. zw. cisawica (choroba Adison'a), spowodowana niedomaganiem wydzielania nadnerczy.

Nadnercza są to gruczoły o wydzielaniu wewnętrznem, produkujące hormon zwany adrenaliną — pobudzającą specjalne unerwienie naczyń krwionośnych. Brak dostatecznej ilości adrenaliny we krwi powoduje osłabienie tego unerwienia, a tem samem zwiotczenie ścianek tętnic, które nie stawiają oporu przepływającej krwi. Choroba ta należy do rzędu bardzo ciężkich i trudnych do leczenia.

Wyżej wspomniany okres przekwitania u kobiet powoduje w większości przypadków jedynie przejściowe podwyższenie ciśnienia krwi, spowodowane zmianą, jaka zachodzi w ustroju kobiety w czasie zamierania funkcji jajników, co odbija się na sprawności działania wszystkich gruczołów o wydzielaniu wewnętrznem, które wydzielają bądź zawiele, bądź zamało właściwych sobie hormonów.

Ciśnienie krwi uzależnione jest od wieku człowieka. Dzieci zreguły mają o wiele niższe ciśnienie niż osoby dorosłe. U ludzi w średnim wieku ciśnienie waha się od 120—160 (t. j. ciśnienie minimalne u danego człowieka wynosi 120 milimetrów słupa rtęci — a maksymalne u tegoż człowieka 160 mm słupa rtęci), bądź 80—140. Ciśnienie maksymalne, dochodzące lub przekraczające 200 mm słupa rtęci, bywa niebezpieczne dla chorego tem więcej, im dana osoba ma wiek bardziej podeszły, lub im choroba zasadnicza poczyniła rozleglejsze spustoszenie w organiźmie np. przy miażdżycy tętnic lub w chorobach nerek.

Przy chorobach serca — zwiększone ciśnienie krwi występuje przy niewyrównanych wadach serca.

Ciśnienie krwi mierzy się zapomocą specjalnych przyrządów: — bądź sfigmomanometrem, bądź oscylometrem.

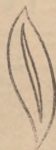
Dr J. E.

Butonierka z kolorowej rafji.

z białej wełny.



Rys.



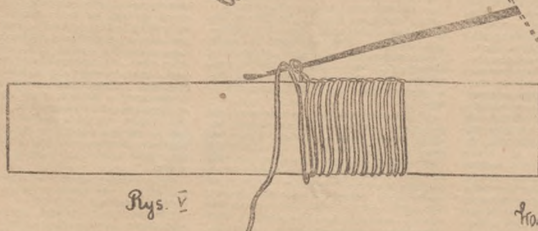
Rys. II



Rys. III.



Rys. IV



Rys. V

Wanda Wodzyńska

Cera sucha i cera tłusta

Normalna cera jest naogół rzeczą rzadką, większość ludzi ma skórę ulegającą pewnym, chociaż często nieznacznym od tej normy odchyleniom. Nie będziemy dziś mówili o trądziku, będącym wyższym stopniem łojotoku, domowemi środkami nie możemy go opanować, leczenie zaś zewnętrzne w większości wypadków wymaga poparcia przez leczenie wewnętrzne, wykraczające poza ramy kosmetyki. Sucha skóra ma również swoje wyższe stopnie, dochodzące do zrogowacenia naskórka, stan taki jest jednak stosunkowo rzadki.

Przeciętnie tłusta cera wyróżnia się pewnym połyskiem i rozszerzonemi porami, skóra sucha specjalną wrażliwością na mycie, skłonnością do łuszczenia i zaczerwienienia. Osoby o takim typie skóry popełniają często omyłki w sposobie jej traktowania, których nie popełniają osoby o cerze tłustej, chociażby dlatego, że skóra tłusta jest mniej i to znacznie mniej wrażliwa.

Zdarza się niekiedy, że osoba dotnięta suchością skóry, widząc po umyciu zaczerwienienie i łuszczenie, twierdzi, że ma cerę „egzemiczną" i usiłuje leczyć ową pseudoegzemę np. spirytusem salicylowym.

Oczywiście osusza ją jeszcze bardziej i sprawę pogarsza.

Dlaczego częste mycie gorącą wodą, przecieranie cytryną i t. p. zaleca się przy cerze tłustej? Zabiegi te bowiem usuwają w pierwszym rzędzie nadmiar tłuszczu, wpływają zaś w pewnej mierze i na ściągnięcie porów, co skolei może zmniejszyć w pewnym stopniu wydzielinę. Zrozumiałe jest zatem, że zabieg taki zastosowany przy cerze suchej musi dać zły rezultat. Usuwamy bowiem już nie nadmiar, a tę nawet skąpą ilość tłuszczu, która jest dla skóry konieczna. Dlatego skórę suchą myć trzeba ogłędnie, nie często, ograniczając się do mycia jednorazowego, stosując przytem mydła tłuste, delikatne, a natychmiast po umyciu nagradzając skórze tłuszcz utracony odpowiednim kremem.

Lanolina jest bezwarunkowo środkiem najlepiej odżywiającym skórę, najbardziej zbliżonym do normalnego tłuszczu znajdującego się w skórze człowieka.

Teoretycznie tak się rzecz przedstawia, praktycznie jednak nie jest to takie zupełnie proste. Przedewszystkiem duża wrażliwość cery suchej sprawia, że nawet po takiem ostrożnem myciu skóra pali, sprawia wrażenie jakby się ściągała, dostaje plam i drobnych krosteczek. Trudno, trzeba to powiedzieć, choć to brzmi niekulturalnie, mycie szkodzi suchej cerze. Tak, to trudno, szkodzi. Ponieważ jednak mycie jest konieczne, trzeba je stosować ostrożnie i w porę. Bardzo duże znaczenie ma tu usposobienie indywidualne.

Każda z pań musi zbadać sama, kiedy jest dla niej najodpowiedniejsza pora do mycia. Wiem z doświadczenia, że większość osób o suchej cerze źle znosi mycie ranne, zwłaszcza zaraz po śnie i zaraz przed wyjściem.

Obserwowaliśmy niejednokrotnie, że twarz rozgrzana ze snu staje się bardziej wrażliwą, jeżeli zaś zaraz po wstaniu i umyciu trzeba wyjść do pracy, skóra nie ma czasu odpocząć i odrazu zostaje narażona na wpływy atmosferyczne. O ile zatem osoba o suchej cerze nie ma czasu odpocząć po śnie, ostygnąć z rozgrzania przed myciem, a po myciu dać skórze również ochłonąć przed wystawieniem jej na powietrze, zrobi lepiej, jeżeli rannego mycia wogóle poniecha. Niemniej jednak, raz na dzień umyć się trzeba, kiedy zatem to uczynić! — Po powrocie z pracy. Umyć twarz wodą słabo letnią, jeśli to możliwe bez mydła, a z otrąbkami migdałowemi. Przy podrażnieniu zaś myć wogóle nie wodą a mleczkiem migdałowem.

Kupując krem, osoba o cerze suchej powinna go kupować w aptece, zaznaczając przy kupnie wyraźnie, że ma to być krem dla cery suchej.

Pamiętać należy o jednem, że cera tłusta znosi właściwie wszelkie mydła, wszelkie kremy i pewne omyłki mało jej naogół szkodzą.

Osoby o tłustej cerze długo nie dostają zmarszczek. Stanowi to dla nas naukę, że tłuszcz skórę żywi, że aby była elastyczna musi być natłuszczana, inaczej zsycha się i marszczy.

To też pierwszym warunkiem uchronienia się od zmarszczek jest zagrożone miejsca nasycać lanoliną. Ponieważ sucha skóra nie wchłonie całego kremu, należy smarować twarz zaraz po umyciu, niewielką ilością, aby naskórek mógł krem wchłonąć razem z wodą. Zbyt tłusty pozostanie na wierzchu, o ile nie zostanie rozprowadzony.

Musimy się z tem liczyć, że przeciwnie do cery tłustej, cera sucha źle znosi wszelkie zabiegi. Im ich mniej tem lepiej, nie dotykać, nie drażnić. Niektóre osoby znoszą źle nawet smarowanie na noc. Twarz ich rozpala się w pościeli i piecze jeszcze gorzej niż po umyciu. Tego typu osoby mogą się myć jak powiedziałem raz na dzień, po pracy, po ochłonięciu i z możnością dania twarzy po umyciu spokoju. Raz też na dzień po umyciu zastosować krem i pozatem nie dotykać twarzy niczem zupełnie. Za to możemy ją ten raz myć długo, np. przykładać do twarzy gąbkę z wodą z otrąbkami, sprawić jej kąpiel bez mydła, bez tarcia, to jej dobrze zrobi.

Tłusta skóra zniesie dobrze i mleczko, i otrąbki i krem, jednego tylko nie wolno jej używać: mydeł alkalicznych, które wogóle należałoby usunąć z użycia kosmetycznego, codziennego.

Jako specyfik dla skóry łojotokowej może służyć mydło siarkowe.

F. D-ski.

BUTONIERKI

Rysunek I przedstawia model butonierki z kolorowej rafji. Składa się ona z dwóch pomponików koloru czerwonego i trzech zielonych listeczków. Sposób wykonania pomponów objaśniałam w Nr. 26 z dnia 27 czerwca 1936 r. Jak robić listki objaśnia nam rys. 2 i 3, a więc wycinamy z kartonu niezbyt grubego, lub jeszcze lepiej ze sztywnego filcu szabloniki, według rys. Nr. 2, ze szparką w środku. Następnie zasnuwamy listeczek w sposób przedstawiony na rys. 3, tak gęsto aby karton nie przeświecał. Rafję trzeba rozdzielać na cienkie włókienka. Listki i pompony łączymy drucikami, które po złączeniu okręcamy zieloną rafją.

Rys. IV przedstawia nam butonierkę imitującą aster. Robimy ją z białej puszystej, cienkiej wełny. Sposób wykonania nadzwyczaj łatwy, polega na punktach zbieranych z linijki szydełkiem. Zależnie od wielkości kwiatu robimy długi pas pentli (najmniej 1 m.). Po zdjęciu pasa z linijki przerabiamy jeszcze raz rząd ścisłych półsłupków aby zmocnić i ścieśnić brzeg, a następnie zwijamy pas spiralnie i mocujemy przy pomocy igły.



Szlak do sukni, fartuszka i t. p., wykonany bawełną perlé nr. 5. Grochy żółte, ukośniki niebieskie, reszta haftu kolorem granatowym.

Wanda Wodzynska

Objaśnienie do tablicy kroju. Praktyczna Pani № 31.

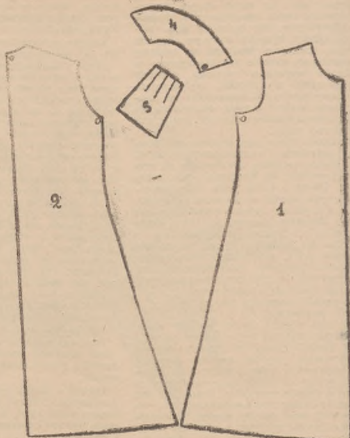


Koszulka nocna
od 8–10 lat

Materjału na koszulkę,
potrzeba: 2 m. 40 cm.
szerokości: 80 cm.



1. przód koszulki
2. tył "
3. rękaw
4. kołnierz
5. kokardka.

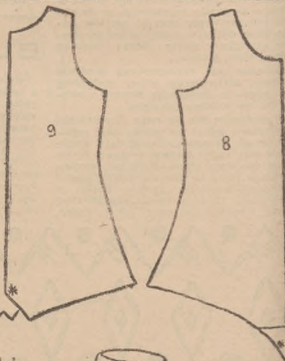


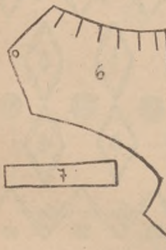


Kombinezka dla dziewczynki
–o–o–o– od 8–10 lat.

Materjału na kombinezkę
potrzeba 1 m. 40 cm.
szerokości: 80 cm.

8. przód kombinezki.
9. tył "

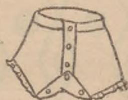




Majteczki

Materjału na majteczki
potrzeba: 40 cm.
szerokości: 80 cm

6. majteczki
7. pasek



O właściwem ubieraniu się na plaży

Upalne, a nawet tylko ciepłe, ale słoneczne dnie wyciągają na plażę mnóstwo ludzi. Frekwencja wzrasta z roku na rok w sposób wydatny. Dowodzi to, że ludzie orjentują się znakomicie w dobroczynnym wpływie plażowania.

Poddawanie się operacji słońca, oddychanie dużej powierzchni skóry obnażonej, wchłanianie ożywczych podmuchów wiatru, a wreszcie ożywcza kąpiel. To są wszystko walory niesłychanie cenne dla organizmu.

Dużo się pisze, mówi, poucza o tem, jak należy plażować, ażeby zamiast dodatnich wyników dla zdrowia nie osiągnąć ujemnych. Zdawałoby się, że nie powinno się wobec tego widywać ludzi „obłażących" ze skóry albo chorujących od nadmiaru nasłonecznienia. Tak samo, jak wydaje się niezrozumiałem niewłaściwe ubieranie się na plaży. Właśnie dlatego, że plażowanie jest tak bardzo rozpowszechnione.

Dziś nikt już nie posądza nikogo o to, że idzie na plażę w celach zdobywczych lub erotycznych. Dziś każdy szuka na niej zdrowia, odpoczynku i swobody. Ta swoboda i idąca za nią beztroska, zaznane w przeciągu kilku godzin, wpływają dobroczynnie nietylko na nerwy, ale i na całą psychikę.

Chodzi tylko o to, żeby swobody nie ujmować w jej najgorszem znaczeniu. Swoboda, to nie znaczy ordynarne, hałaśliwe, rozbrykane zachowanie. Na to nie może być miejsca na żadnej, nawet najbardziej ustronnej plaży. Wszędzie są ludzie, którzy szukają właśnie odpoczynku, który znów nie musi iść w parze ze zbyt poważnym albo ponurym nastrojem. Wskazany jest we wszystkiem umiar. Ten nieoceniony „złoty środek".

Jest jeszcze druga strona plażowej swobody. To sposób ubierania się. Zdawałoby się, że powinno być już powszechnie wiadomem, że obowiązuje wszystkich kostjum kąpielowy.

Dla dzieci małych obojga płci trykociki do pasa. Chłopcy pozostają już w nich na stałe, ale starsze dziewczynki z biegiem lat muszą wkładać całkowite trykoty. Puszczanie maleńkich dzieci nago na plażach zaludnionych nie jest wskazane ze względów pedagogicznych.

Dorośli mają też swój mundur plażowy w postaci kostjumów kąpielowych. Kostjum powinien być dobrze dopasowany ze względów na wygodę i estetykę. Wszystko, co jest zaciasne albo za luźne bardzo brzydko wygląda.

O ile plaża jest „dzika" i niema kabin do rozbierania, należy na nią przychodzić w ubraniu, któreby się dało łatwo zdjąć za krzakiem lub za rozpostartem przez kogoś prześcieradłem, czy też płaszczem. Ukazywanie się na plaży w bieliźnie jest i nieestetyczne i nieodpowiednie.

Dlatego też śmieszne są osoby, wylegujące się na plażach w bieliźnie. Widzi się czasem panie rozpostarte w spodach od sukien, obnażające jednak nogi do linji „kostjumu kąpielowego. W tych spodach spacerują nieraz conajmniej, jak w granicach własnego domu.

Jeszcze inne chodzą lub leżą w biustonoszach i małych trykotach, krępując swym wyglądem każdego przechodnia. Dzieje się to oczywiście na plażach odległych, jednak uczęszczanych. I nie może być tolerowane ze względu na źle zrozumianą swobodę.

Jest to negliż, spodnie ubranie, które ujawnia się tylko w granicach domu, wśród bliskich. Na plaży obowiązuje „mundur" w postaci kostjumu kąpielowego, przyjęty i zaaprobowany przez cały świat. Nikt z osób plażujących nie może się tłomaczyć brakiem kostjumu. Musi go nabyć, jeżeli chce plażować lub się kąpać. Dotyczy to szczególnie osób, które prezentują się w bieliźnie jedwabnej. Tych nie może usprawiedliwić brak pieniędzy, a jedynie źle pojęte poczucie swobody.

Uwagi te dotyczą nietylko pań, ale odnoszą się również i do panów.

Widzi się ich nieraz w trykotach zaciasnych albo, przeciwnie, opadających. Niektórzy chodzą obnażeni do pasa, ale w długich spodniach i boso. Jeszcze inni te spodnie podkasują, ukazując swoje bielizny. Kiedyś taki gentlemen kąpał się w długich spodniach!

I w tych wypadkach nie można się tłomaczyć brakiem trykotów, kosztujących grosze. A tylko źle pojętą swobodą i lekceważeniem otoczenia.

Plaża nie jest domowym terenem. Wszędzie, gdzie są obcy ludzie, jest ona miejscem publicznem. A nie wszędzie jest... policja, która musi przestrzegać przyzwoitości.

Jeżeli ktoś nie wie sam, jak się ubrać lub zachować, może zawsze zwrócić się z zapytaniem do kogoś kompetentnego albo napisać z zapytaniem do swego pisma. Zresztą można uważnie obserwować i nauczyć się czegoś, czego się nie wie.

Dostosowanie się do obowiązujących zwyczajów i warunków jest dowodem kultury, którą przyswajać sobie trzeba od rzeczy najdrobniejszych. Nieraz napozór błahych, a jednak ważnych. One składają się na całokształt cywilizowanego współżycia.

I dlatego ubierajmy się na plażę „mundurowo", a nie w negliże tak źle świadczące o stopniu kultury.

Marjeta.

Deszcz w czasie pogody

W ubiegły poniedziałek panowała — mówiąc stylem komunikatów meteorologicznych — pogoda słoneczna, o zachmurzeniu niewielkiem. Mimo to spadł deszcz i to obfity.

Myliłby się wszakże ten, ktoby uważał zjawisko to za coś niezwykłego; przeciwnie: powtarza się ono z całą regularnością co miesiąc, różniąc się tylko obfitością „opadów". Bo nie jest to zwykły deszcz, przed którym ludzie chronią się pod dach, lub parasol. Deszcz ten — to liczne wygrane, które padają w ciągnieniach Loterji Państwowej, a ilość ich zależna jest od klasy tej Loterji.

Właśnie 20-go b. m. przypadał ostatni dzień ciągnienia drugiej klasy trzydziestej szóstej Loterji. W dniu tym wylosowane były nietylko dwie główne wygrane po sto tysięcy złotych, oraz stała dzienna wygrana, ale i te spośród większych wygranych, które pozostały jeszcze w kole. Ostateczne wyniki ciągnienia przedstawiają się więc jak następuje:

Po sto tysięcy złotych wygrały numery 97034 w Łodzi i 136803 w Poznaniu, a właściwie w tamtejszej filji jednej z kolektur warszawskich. Pięćdziesiąt tysięcy i dwadzieścia pięć tysięcy złotych przypadły Krakowowi na numery 56840 i 64746; we Lwowie wreszcie sprzedany został nr. 170678, na który padła wygrana dwudziestu tysięcy złotych.

Jak widzimy, był to naprawdę „deszcz" wygranych, deszcz, który napewno nikomu humoru nie zepsuł. Kto chce mieć szanse, by go podobny deszcz zrosił w przyszłym miesiącu, niech nie zapomni odnowić losu trzeciej klasy, której ciągnienie rozpoczyna się trzynastego sierpnia b. r.

Nasza Skrzynka

Dla Pani Anity.

W lecznictwie ludowem mamy bardzo prosty, tani, a nadzwyczaj skuteczny środek na pozbycie się reumatyzmu i artretyzmu. Są to nasze rodzime wielkie, mocno piekące pokrzywy, świeżo zerwane, któremi należy chore miejsca, lub całe ciało rano, po umyciu i wytarciu kilka razy lekko uderzyć, by wywołać zaczerwienienie i pieczenie skóry. Nie radziłabym zaczynać kuracji wieczorem, bo po rozgrzaniu ciała w łóżku, pieczenie mogłoby się stać zbyt dotkliwe i źle wpłynąć na sen. Wrażliwość naskórka na działanie pokrzyw jest bardzo różna, dlatego trzeba zacząć od delikatnych uderzeń kilkoma gałązkami. Muszę tu nadmienić, że pokrzywy zerwane po deszczu i rosnące w miejscach zacienionych są złośliwsze. Pieczenie występuje po małej chwilce, ale długo nie trwa i po kilku dniach kuracja ta (trochę „później") nie budzi zupełnie odrazy, a jest naprawdę pomocna i doraźnie odczuwa się jej skutki dobroczynne. Gdy mogę całe lato smagać się pokrzywami, mam spokój resztę roku i zapominam o bólach artretycznych i reumatycznych, więc szczerze mogę każdemu polecić to „miłe ziółko".

Zapewne kwas mrówczany, zawarty we włoskach liści i łodyg pokrzywy, działa tak nadzwyczajnie, — przecież niektórzy stosują wiele silniejszy i przykrzejszy środek leczniczy, mianowicie ukąszenia pszczoły — to już lepsze pokrzywy. Znajdują one coraz więcej uznania, nawet są polecane przez lekarzy. Życzę Matce Pani jaknajlepszych wyników kuracji i wobec bliskiej jesieni nie radziłabym jej odkładać.

Znachorka.

Szanowne Panie!

Poszukuję osoby w średnim wieku z umiejętnością wykwintnego szycia sukien. Potrzebne jest świadectwo przemysłowe w celu założenia pracowni na prowincji. Ja daję pomieszkanie, urządzenie stosowne i obowiązek starania się o klientelę. Panie, które posiadają powyższe dane, — reflektujące na wyjazd, — proszone są o natychmiastowe porozumienie się listowne. Adres w Redakcji. Zaznaczam, że zamieszkuję w Małopolsce wschodniej.

Spółka.

Szanowne Panie!

Mam 7-letnią córeczkę, uczęszczającą do II-giej klasy. Jest jedynaczką, a tak się składa, że i w najbliższem sąsiedztwie niema dzieci. Chętnie przyjęłabym dla niej za towarzyszkę córkę reemigrantów z Francji w wieku 14—18 lat. Chciałabym, by to było miłe i dobre dziecko, bym ją mogła uważać za starszą córkę. Poza całkowitem utrzymaniem dostałaby skromne wynagrodzenie pieniężne. Pozatem mogłaby uczęszczać do szkoły, a w miarę chęci nabrać doświadczenia w pracy gosp. domowego. Mogłabym jej też umożliwić wyuczenie się zawodu asystentki dentystycznej. Mieszkam na prowincji, las, rzeka na miejscu. Proszę o porozumienie się ze mną listownie. Adres w Redakcji.

K. R.

Zacne Panie!

Czytając różne pytania i odpowiedzi w „Naszej Skrzynce", ufam, że też i moja usilna prośba zostanie przyjęta, a mianowicie:

Liczę lat 40, pochodzę z rodziny inteligentnej. Posiadam rozgałęzioną wiedzę w sztuce kulinarnej i w gospodarstwie domowem. Jestem oszczędna, obowiązkowa, bardzo chętnie przyjęłabym posadę jako samodzielna zarządczyni — gospodyni w dobrym domu, majątku, na probostwie lub osiedlu wiejskiem. Posiadam pierwszorzędne świadectwa i poważne referencje.

Proszę usilnie Zacne i Szanowne Panie o łaskawe poparcie mej prośby w gronie swych znajomych. Adres mój w Redakcji.

Dobra gospodyni.

Szanowne Panie.

Potrzebna mi jest do gospodarstwa na wieś, pod Warszawę, osoba zaufana, której mogłabym powierzyć całkowity dozór nad mleczywem, ogrodem, kuchnią. Wymagana znajomość przyrządzania zapasów na zimę. Warunki skromne, osoba przyzwoita i chętna będzie traktowana jak w rodzinie. Oferty z powołaniem na osoby poważne w redakcji pod „Dojazd autobusem".

Szanowne Panie.

Mam córeczkę 14 letnią, która skończyła szkołę powszechną i będzie od wakacji uczęszczała do szkoły handlowej. Tam jest obowiązkowa praktyka sklepowa. Wszystko mi jedno jaki sklep byle mogła mieć zaświadczenie, że jest tam na praktyce. Może która z pań mających sklep w okolicy placu Zbawiciela, Mokotowskiej, Kruczej zechce nam łaskawie dopomódz. Oferty dla Lusi.

— — — — — — —

Potrzebna dziewczyna do wszelkich prac domowych, prania, skromnego gotowania, nie samodzielna, trzy osoby, 15 zł. i osobny pokoik. W przyszłości możliwa podwyżka. Poznańskie. Oferty dla „Pomocnica".

Szanowne Panie!

Może, która z Szanownych Pań potrzebuje młodej panienki do dzieci i szycia. Ukończyła Szkołę zawodową krawiecko-bieliźniarską. Jest sierotą i bardzo potrzebuje pracy. Mam nadzieję, że Szanowne Panie, jak zawsze zajmą się losem sieroty.

Stała Czytelniczka.

HODOWLA KRÓLIKÓW

Klatki na otwartem powietrzu.

Buduje się szczelne klatki z dobremi daszkami i ustawia w miejscu osłoniętem.

Przednia ściana klatek winna być zrobiona z siatki drucianej.

Jeżeli mamy klatki ruchome, to ścianą osiatkowaną zwracamy je na północ w lecie, a w zimie — na południe.

Jeżeli klatki są umocowane na stałe, to siatkami zwracamy je albo na wschód, albo na zachód, dając osłonę od wiatrów, które dają się we znaki szczególnie na wiosnę i na jesieni.

Najodpowiedniejszemi dla królików są klatki na dworze. Mają wtedy króliki dużo światła i ciągle świeże powietrze.

Na zimę od mrozów nie cierpią, jeżeli się im da dużo ściółki i na noc osłoni się ściany słomianemi matami. Gorzej dają się królikom we znaki upały. Dlatego w dnie upalne należy klatki cieniować, spryskiwać wodą, lub bielić wapnem, bowiem biały kolor rozprasza i odbija promienie słoneczne.

Wymiar przeciętnej klatki wynosi 75 cm do 1 metra, wysokość i szerokość do 75 cm.

Dla dorosłych królików klatki winny być oddzielne dla każdej sztuki. Dla młodych królików długość klatki winna mieć przynajmniej 2 m, wysokość i szerokość może być taka sama, jak dla dorosłych.

Przednia ścianka u samców i młodzieży winna być cała z siatki drucianej, u samicy natomiast tylko od połowy — ponieważ wtedy wrazie wykotu może mieć ciemny kąt dla założenia gniazda.

W dnie klatek winny być wywiercone otworki, któremi mogłyby odpływać wydaliny. Można również dno zrobić pochyłe ku tyłowi i w tylnej ścianie klatki zrobić szparę ściekową. Takie dno będzie trwalsze, a klatka cieplejsza.

Ściana osiatkowana winna być umieszczona na zawiasach i potraktowana jak [illegible]czwiczki; można wówczas łatwo oczy[illegible] klatkę i wynieść gnój, otworzywszy uprzednio klatkę. W klatce dla samicy należy umieścić skrzyneczkę na gniazdo, a dla samca przybić do jednej ze ścian półeczkę, na którą mógłby wskakiwać i zeskakiwać i zażywać w ten sposób gimna[illegible]vki. Dla młodzieży umieścić wpoprzek [illegible]atki drążek na pewnej wysokości, by mogła przeskakiwać go i mieć więcej ruchu.

W każdej klatce prócz tego umieścić drabinkę na siano i kafel na ziarno. Klatki winny być umieszczone na palikach wys. 1 metra, by psy oraz inne zwierzęta nie niepokoiły niepotrzebnie królików. Pod klatki należy sypać torf, popiół, wapno niegaszone, by zabić wyziewy wydzielające się z nieczystości.

Klatki należy czyścić co tydzień, a na ściółkę używać miękkiej słomy owsianej.

Z nastaniem cieplejszych dni klatki należy pobielić z dodatkiem środków dezynfekcyjnych.

Przed bieleniem klatki należy wyszorować gorącą wodą, albo lepiej ługiem z popiołu. Porządki należy przeprowadzać stopniowo po jednej klatce, by móc wszystko zrobić dokładnie.

Wybiegi. Na wybiegi należy wybierać miejsce wpobliżu budynków, by wykorzystać ich ściany, lub fundamenty.

Wybieg otacza się siatką wys. 1,30 m nad ziemią i wpuszcza się na głębokość 60—70 cm w ziemię, by króliki nie mogły się podkopać i wychodzić poza wybieg. Dobrze jest ponad siatką dać drut kolczasty trzema rzędami na palikach zagiętych do wnętrza wybiegu.

Oparkanienie wybiegu robić należy z takiego materjału, jaki w danej okolicy bardziej się opłaca. W województwach wschodnich najtaniej wypadną deski, w zachodnich siatka i cegła. W kieleckiem np. kamień. Nie zapominać oczywiście zrobić furtki wejściowej. Na wybiegu ustawia się klatki na cegłach lub umocowuje do ścian budynku, do którego wybieg dotyka.

Króliki wypuszczać na wybieg na zmianę; gdybyśmy bowiem wypuścili wszystkie naraz, pogryzłyby się niechybnie. Na 4-ch metrach kwadratowych przestrzeni wybiegu nie może więcej biegać, jak 6 do 8 królików. Na wypadek deszczu i na noc króliki zamyka się w klatkach.

Użytkowanie królików.

Najlepsze są futerka z królików, które ukończyły 8 miesięcy życia i zostały zabite w okresie od 1-go grudnia do 15-go lutego.

W innych miesiącach zabija się tylko króliki w wypadkach nagłych. Młodzież do 8-miu mies. nie ma ani dobrego futerka, ani mięsa tyle, co starsze króliki.

Zabijamy króliki w ten sposób: sztukę przeznaczoną na zabicie chwytamy za tylne skoki i trzymamy głową na dół. Gdy królik zawiśnie nieruchomo, wówczas uderzamy bokiem dłoni w miejsce, gdzie głowa styka się z szyją. Wówczas wywołamy przerwanie się kręgów szyjowych i natychmiastową śmierć. Po zabiciu wyjmujemy oko dla spuszczenia krwi.

Dla odarcia królika ze skórki zawieszamy go za tylne skoki.

Ściąganie skóry zaczynamy od nacięcia skoku dokoła w miejscu, gdzie kończy się zgięcie części skoku, na której królik siedzi. Potem nacinamy skórkę z dwóch stron skoków aż do okolicy organów płciowych i ściągamy skórkę wdół równomiernie, wolno, bez pomocy noża. Ściągamy aż do przednich skoków, poczem skórkę obcinamy w zgięciu, tak, by pazurki pozostały przy skórce. Przy obciąganiu skórki ze łba pomagamy sobie nożem koło oczu i uszu. Uszy winny pozostać przy skórce.

Skórkę świeżo ściągniętą naciąga się na drut wygięty w kształcie podkowy lub na drewniany klin. Skórkę należy b. dobrze naciągnąć bez żadnych załamań i fałd. Suszyć w ciepłem, lecz przewiewnem miejscu, najlepiej na strychu. Po zupełnem wyschnięciu zdjąć skórkę z przyrządu pomocniczego, przesypać naftaliną tak wewnątrz, jak i nazewnątrz i schować do szczelnej skrzynki. Sprzedać możemy nieźle, jeżeli będziemy mieli towar jednolity i w większych ilościach.

Choroby królików i ich leczenie.

Posocznica — wyciek ropny z nozdrzy wraz z zajęciem płuc i opłucnej. Choroba zaraźliwa.

Zmienić wówczas pomieszczenie i dokładnie przedezynfekować klatki.

Katar — choroba zaraźliwa. Przenosi się przez pokarm, którego dotykały chore króliki. Królik chory na katar ma oddech przyśpieszony, gorączkę do 41 stopni, wyciek ropny z nozdrzy. Kaszle i kicha. Choroba może zakończyć się śmiercią.

Przemywać drogi oddechowe 2 proc. roztworem kwasu bornego lub kreoliny.

Świerzb — objawia się w postaci krosteczek koło pyska, nosa i na łapkach, a także za uszami.

Leczenie — smarować siarczaną maścią.

Parchy — duże strupy w uszach, w następstwie czego ukazują się placе nagie na głowie oraz w okolicach uszu. Chorobę tę powoduje brud w klatkach oraz trzymanie królików w budynkach inwentarskich.

W wypadkach parchu, klatki myć 1 proc. roztworem kreoliny, bielić wapnem z domieszką karbolu lub lyzolu. Rany zasypywać proszkiem siarki. Królika z zadawnioną chorobą zabić i głęboko zakopać, oblewając uprzednio mlekiem wapiennem.

Kokcydjoza — objawia się przez szybkie chudnięcie młodych. W wypadku tym wątroba i kiszki zostają atakowane przez pasorzyty.

Chorobie zapobiec łatwo przez dodatek do paszy ziół i gałązek świeżej wierzby. Chore sztuki najlepiej jednak wytępić i przeprowadzić szczegółową dezynfekcję.

Wzdęcie — powstaje naskutek przeżarcia się zieleniną lub zjedzenia mokrej paszy zielonej.

Najprostszym sposobem leczenia, to lewatywa z odrobiną mydlin z ciepłej wody. Do czasu przyjścia do zdrowia, daje się królikowi siano, owies oraz czystą wodę.

Niestrawność — polega na zatwardzeniu lub rozwolnieniu. Zatwardzenie powstaje naskutek zjedzenia suchych pasz w nadmiarze. Rozwolnienie — na skutek zjedzenia zielenin i wypicia wody lub mleka po zieleninie. Lewatywa 2 razy dziennie przy zatwardzeniu. Przy rozwolnieniu — pasza sucha z dodatkiem parzonej mięty.

Śliniaczka — mokry zaśliniony pyszczek jest objawem tej choroby.

Zdarza się przeważnie u młodych sztuk. Szkodzi im bowiem spoczątku pasza zielona. Przejście na suchą paszę chorobę tę wyleczy.

Katar — powoduje kurz w sianie i ściółce. Królikowi wtedy leje się z nosa i ciągle kicha. Zmienić ściółkę, dawać świeżą lub suchą miętę w ilości, ile królik zechce. Na cegłę rozgrzaną polać kilka kropel terpentyny i trzymać nad nią łeb królika, by królik wdychał parę terpentyny, albo smarować nozdrza wazeliną chinozolową, a napewno choroba ustąpi.

Irena Rozdębska-Michalska.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie od dn. 2 VIII.-8 VIII. 36 r.

NIEDZIELA — 2.VIII.

9.00 — Transmisja nabożeństwa
10.30 — Koncert — „Goethe i Shakespeare w muzyce"
12.03 — Poranek muzyczny
14.30 — Audycja dla wsi
15.30 — Lekkie piosenki i orkiestra Ferruzzi (płyty)
17.00 — Koncert solistów
17.30 — Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 10.000 z udziałem Noji
18.05 — „Podwieczorek przy mikrofonie"
19.55 — Recital skrzypcowy Stefana Frenkla
20.25 — „Poezja Legjonowa" — kwadrans poetycki
21.00 — Premjera słuchowiska J. Parandowskiego p. t. „Gałązka Oljwna"
21.45 — Marcel Mule — saxofon (płyty)
22.00 — Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Tadeusz Sygietyński: Pieśni i tańce góralskie (płyty własne, nagranie P. R.)
23.00 — Muzyka taneczna

PONIEDZIAŁEK 3.VIII.

12.23 — Kwintet Wiesława Wilkosza
15.45 — „O pająku, który z głodu zjadł własną sieć" — opowiadanie dla dzieci St. Kubickiego (z Poznania)
16.00 — „Szlem w piosenkach" — lekka audycja muzyczna
19.00 — Audycja żołnierska
19.30 — Aleksander Głazunow — kwartet smyczkowy a-moll
20.00 — Duety i piosenki w wyk. J. Godlewskiej i A. Boguckiego
20.30 — „Legenda Kościuszki i legenda Piłsudskiego"
21.00 — Koncert
22.00 — Transmisja i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Wirtuozi techniki wokalnej i instrumentalnej
23.00 — Muzyka taneczna

WTOREK 4.VIII.

12.23 — Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej
15.45 — Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 100 m. (finał) z udziałem St. Walasiewiczówny
16.05 — „Skrzynka P.K.O."
16.20 — „Kwiaty w muzyce"
16.45 — „Hetman Jan Tarnowski i bitwa pod Obertynem" — odczyt
17.00 — Koncert z Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego
17.40 — Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — bieg na 800 m (finał) z udziałem Kucharskiego
19.00 — Recital fortepianowy Ryszarda Wernera
19.30 — Opera Wł. Żeleńskiego: „Janek"
22.00 — Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Muzyka taneczna z Ciechocinka

ŚRODA 5.VIII.

12.23 — Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku
16.15 — Koncert w wykonaniu Dętej Orkiestry Reprezentacyjnej
17.00 — Recital śpiewaczy Emmy Szabrańskiej
17.20 — „Na chłopskiem weselu" — suita ludowa F. Rybickiego
17.50 — „Anegdoty z życia Józefa Ignacego Kraszewskiego
19.00 — „Pieśni Legjonów"
21.00 — Recital śpiewaczy Wiktora Bregy
22.00 — Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Koncert muzyki polskiej
23.00 — Muzyka taneczna

CZWARTEK 6.VIII.

12.23 — Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Salonowego
15.45 — „Wśród dzieci, które spędzają wakacje w mieście" (transmisja)
16.00 — Orkiestra Marka Webera
16.10 — Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — rzuty oszczepem z udziałem Lokajskiego i Turczyka
16.30 — Muzyka (płyty)
16.45 — „6 sierpnia 1914 roku" — odczyt
17.00 — Pieśni polskie
17.15 — Marsze Wojska Polskiego w wyk. Orkiestry Dętej 36 p. p.
17.50 — „Wywczasy pana Mikołajczyka"— pogadanka
19.00 — Humoreska radjowa: „Sprzedam kamień"
19.45 — „Nasze pieśni" — odśpiewa Zofja Wyleżyńska
20.05 — Niemieccy romantycy" — transmisja z Mozarteum w Sajzburg
21.00 — Muzyka (płyty)
22.00 — Wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie oraz feljeton p. t. „Polacy w Olimpijskim Konkursie sztuki" (z Berlina)
22.35 — Tańce polskie na fortepian w wyk. na 4 ręce
23.00 — Muzyka taneczna

PIĄTEK 7.VIII.

15.45 — Rozmowa z chorymi ks. kapelana Rękasa (ze Lwowa)
16.00 — Koncert solistów
16.45 — „Warszawskie uczelnie akademickie" — odczyt
17.00 — „Uwertury" — koncert
19.00 — „Franciszek Liszt" — Montaż muzyczno-słowny
20.30 — „Z Golgoty Legjonów" — fragment z książki Andrzeja Struga
21.00 — Koncert rozrywkowy
22.00 — Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Muzyka taneczna

SOBOTA 8.VIII.

12.23 — Koncert południowy w wyk. Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego
14.30 — Józef Schmidt i sławni pianiści jazzowi
15.45 — „Dwa Michały na wakacjach" — pogadanka dla dzieci
16.00 — Koncert solistów
16.45 — „Z rybackim kutrem na połowie flonder" — pogadanka
17.00 — Koncert z Ogrodu Zoologicznego
17.50 — „Brzegami Prutu ku Howerli" — feljeton
19.00 — „Muzyka słodka choć cierpkie słowa"
20.15 — Audycja dla Polaków zagranicą p. t. „Letnie inwestycje"
21.00 — Recital fortepianowy Jakóba Gimpla
21.30 — „Genjometr" — humoreska radjowa
22.00 — Transmisja i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie
22.35 — Muzyka taneczna

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani M. H. pod Bochnią.

O kalafjorach i pomidorach znajdzie Sz. Pani artykuły w jednym z najbliższych numerów.

P. Gosposia z Podlasia.

Przecież działy, o których Pani wspomina, istnieją już w naszem piśmie i niczego to nie zmieni, jeśli nad opisem prania damy tytuł „Kłopoty pani domu" a nad artykułem lekarskim „Nasz lekarz". Takie tytuły są już w użyciu w innych pismach, a powtarzać po innych nie wypada. Co się tyczy kursów, tu się sprawa komplikuje, bo podawać je w piśmie równałoby się reklamie, udzielamy wyjaśnień ale listownie. O praniu pisaliśmy jeszcze przed listem Sz. Pani, jakże się to stało, że o nic właśnie się Pani upomina, że nie zauważyła Pani porad lekarskich dr. J. E.? Co do artykulików dla gospod wiejskich postaramy się o nie, jak również o daty w artykułach literackich.

P. Dance D.

Próbki szydełkowe podaliśmy, sweterek (nie pisze Pani na jaki użytek) można najprościej wykonać według szematu podanego w nr. 17.

Co rok na wiosnę odbywa się miesięczny kurs jedwabnictwa w Milanówku pod Warszawą, specjalnych uczelni nie ma.

Co się tyczy fotografji, jest w W-wie państwowa szkoła koedukacyjna, fotograficzna przy ul. Konwiktorskiej 2. (licealna).

Pani K. U.

Wody do zmywania nie używa się o jakiejś specjalnej porze, tylko w razie potrzeby oczyszczenia twarzy z pyłu, pudru, maści i t. p., przeznaczona jest dla cer delikatnych, które źle znoszą mycie wodą z mydłem. Można jej też użyć zaraz po umyciu zwykłem, dla złagodzenia działania mydła.

Sprawy budżetowe poruszyliśmy między innemi w nadziei, że się zainteresują ciężkiemi obecnemi warunkami ci, co na nie mogą wpłynąć. Do spraw szkolnych wypadnie powrócić, nie wiem czemu, nikt się nie odezwał na „Proszę o głos" p. Doktorowej, może na jesieni ruch się wzmoże, teraz urlopy, wyjazdy, z jesienią ożywi się zainteresowanie tą sprawą.

— — — — — — — — — —

W ogłoszeniu nazwiska Byłej Urzędniczki został naskutek omyłki drukarskiej opuszczony wiersz, zawierający właściwy adres p. W. Moryń — Radomsko, Długa 45.

Pani W. M.

Rysunek klatki otrzymałam, ponieważ trzeba go było wykonać tuszem, a następnie zrobić kliszę, potrwa to trochę, tak że w piśmie model klatki dla królików ukaże się zapewne w 32-im a może nawet 33-im numerze.

Stefanja R. z Białowieży.

Jeżeli mąż ma dużo długów, będzie pani otrzymywała nie jak obecnie 2/5 ale 1/5 dla siebie, druga zaś 1/5 pójdzie do podziału między panią i pozostałych dłużników.

Pani Irce.

Dlatego nie podajemy w piśmie nazwy kremów, że nie możemy podać wszystkich odpowiednich, a podanie jednego czy dwóch równa się już reklamie. Kremy opalające są nietrwałe, płyn orzechowy na cerę nie wrażliwą jest dobry, ale łatwo przesadzić i zrobić murzyna lub zrobić nierówno. Może lepiej użyć gotowego płynu, który wprawdzie nie jest b. trwały ale wystarcza na kilka dni. Są także ładne ciemne pudry. Ponieważ nie mogę dać w piśmie nazwy, proszę się zwrócić do dobrego składu aptecznego o „płyn przyciemniający skórę".

Do Wszystkich Czytelniczek.

Od czasu do czasu zdarza się, że otrzymujemy list z wymówką, żeśmy w swoim czasie nie odpisali. Niniejszym uprzejmie prosimy, aby Sz. Panie zwróciły uwagę na to, że niejednokrotnie zamiast w Odpowiedziach dajemy odpowiedź, mogącą się przydać innym paniom w tekście, w telefonie, w osobnym artykule i t. p. Gdyby jednak która z Pań nie otrzymała wogóle odpowiedzi, prosimy najmocniej o powtórny list, rzadko się to bowiem zdarza, ale jednak zdarza, że jakiś list zginie. Nie możemy odpowiedzieć natychmiast, bo listów, zwłaszcza opatrzonych markami, jest ogromnie dużo, odpowiadamy jednak zawsze.

Co się tyczy listów do „Naszej Skrzynki" w sprawie posad i t. p., to Panie zechcą zrozumieć, że zaraz w najbliższym numerze swoich ofert nie znajdą, numer bowiem robi się zawczasu i listy nie mogą być drukowane aż w następnym. Pozatem byłoby wskazane, aby Panie, proszące o posady lub pragnące coś odnająć, podawały w piśmie adresy, uprościłoby to i przyspieszyło robotę. O ile chodzi o sprawy osobiste, porady, to co innego, ale kiedy chodzi o rzeczy terminowe, jest to bardzo potrzebne, bo czasem porozumienie ciągnie się tak długo, że może być zapóźno.

Redakcja.

TELEFON OD PRAKTYCZNEJ PANI

Hallo! Hallo!

Korzeń pietruszki oskrobać, uszatkować cienko, zamoczyć na cały dzień wodą z dodatkiem szczypty boraksu. Na jeden duży korzeń, szklanka wody. Myć na noc miejsca okryte piegami. Jest to środek ludowy, podobno bardzo skuteczny, usuwający nietylko piegi, ale wogóle nadający białość skórze.

Hallo! Hallo!

25 gramów wody utlenionej, 10 gramów gliceryny i sok z całej cytryny, stanowią płyn, który dobrze skutkuje przeciwko piegom.

Hallo! Hallo!

Chcąc ciężki mebel przesunąć w pokoju, trzeba go o tyle tylko unieść, by pod nogi wsunąć skórkę od słoniny, tłustą stroną do podłogi. Suwanie odbywa się jak na sankach, a ewent. tłuste ślady ustępuje łatwo po użyciu mastyki i wyfroterowaniu podłogi.

Hallo! Hallo!

Znoszone jasne, jedwabne pończochy, damskie, o ile oczka nie są popuszczane, a tylko stopa zniszczona, można b. praktycznie przerobić na majteczki dla 1—2-letnich bobasków. Trzeba stopy obciąć, szew trochę rozpruć w obu pończochach i odpowiednio obie pończochy okrętką zeszyć; wprawić kliniki w kroczku, obrębić nogaweczki, naciągnąć gumkę i bez kosztu mamy majteczki, których nigdy niezawiele. Drugie zużycie takich pończoch, to zrobienie worków do przechowywania i pakowania obuwia.

PRZETWORY Z POMIDORÓW

Purée z pomidorów stanowi najwygodniejszą konserwę na zupy i t. p., zajmuje bowiem niewiele miejsca i jest w każdej chwili gotowe do użytku.

Dawniej stosowany system polegał na wyduszeniu na gęsto, zakorkowaniu i przechowaniu, często jednak pomidory fermentowały i wypychały korki.

Następnie przyszedł zwyczaj konserwowania pomidorów kwasem salicylowym. Pomidory trzymały się ładnie, ale traciły na smaku. Obecnie do wszelkich marynat, soków, konfitur używamy benzoesu. Czy benzoes jest zupełnie nieszkodliwy? — zupełnie, — to można śmiało powiedzieć, czy go zatem kłaść w każdą konserwę, każdą konfiturę. Otóż tu się nastrzęcza pewne zagadnienie.

Wiemy, że sól używana przez nas codziennie jest nieszkodliwa, używamy do wędlin saletry, nie mając co do tego żadnych zastrzeżeń. Jednakże, o ile zachodzą pewne schorzenia, lekarze ograniczają spożycie soli, oraz przeciwstawiają się stałemu używaniu wędlin. Należy przypuszczać, że użycie benzoesu w granicach umiarkowanych jest zupełnie nieszkodliwe, może jednak być nadużyte ze szkodą dla zdrowia. Jeżeli go zatem stosujemy, to kłaść go należy umiarkowanie, zwłaszcza zaś w marmelady dla małych dzieci. Jeżeli we wszystkiem, co jemy, będziemy go stosowali, może przyjść do nadużycia. Przy lepiej wysmażanych owocach, marynatach ze słabszym octem powinno wystarczyć na słoik litrowy pół pastylki lub pół proszku, staranna robota, dobre zamknięcie dopełniają reszty.

Podam dziś paniom kilka przepisów, sezon pomidorowy lada dzień pewnie „wybuchnie", szkodaby go zmarnować, a dobra konserwa, to nietylko tanie zapasy dla własnej kuchni, ale także przedmiot handlu.

Opisując sterylizowanie piszę zwykle „gotować", jakkolwiek właściwie sterylizowanie nie jest równoznaczne z gotowaniem i w wielu wypadkach wystarczy niższa temperatura niżli w gotowaniu. Czynię tak jednak dlatego, że mało pań posiada aparaty, że większość konserw znosi gotowanie doskonale, że zapewnia ono trwałość produktu. Ujemną stronę stanowi to, że np. agrestowy kompot gotowany zbyt intensywnie rozlatuje się, tracąc na wyglądzie i że „giną w gotowaniu witaminy". Zapewne, giną, ale w sterylizowaniu słabszem niż gotowanie także giną, zwłaszcza w konserwach, które dłużej stoją, szukać ich daremnie. Kto pisze, róbcie konfitury, konserwy i zapewnijcie sobie w ten sposób zapas witamin, myli się. Ale to nie powód do zniechęcenia. Witaminy nie muszą być we wszystkiem. Bułka z marmeladą na śniadanie ma inne wartości, a jeśli dodamy do codziennego pożywienia ogórek kwaszony, kapustę kwaszoną, jabłko, będziemy mieć ich poddostatkiem.

Panie, posiadające aparat do konserwowania sposobem sterylizacji otrzymują termometr, na którym jest zaznaczone, jaki owoc czy warzywo, jak długo trzeba sterylizować i w jakiej temperaturze. Z własnego doświadczenia dodam, że lepiej trochę zadługo i w trochę wyższej temperaturze produkt trzymać, niż zakrótko i w zaniskiej.

Konserwa w całości.

Ładne, twarde pomidory, nakłuć drewienkiem lub przekroić na połowy, ułożyć w słoiki, zalać przegotowaną wodą z solą, licząc na litr łyżkę soli. Słoiki zamknąć, gotować w kociołku 40 minut.

Pomidory konserwowane w całości nadają się wybornie do podania przy mięsie, podduszone krótką chwilę w maśle. Na sosy i zupy zrobimy sobie pomidory w butelkach. Do tego celu użyjemy owoc dojrzały, części niepewne usuwamy nożem, następnie możemy postąpić dwojako:

1) albo usuwamy pestki łyżką, cały zaś owoc mielemy w maszynce, przekładamy do rondla, dusimy powoli, mieszając aż nie

co zgęstnieje, bez przecierania, wlewamy w butelki i sterylizujemy, albo

2) nie przepuszczamy przez maszynkę, tylko gnieciemy, zagotowujemy aż skórka zacznie odchodzić i przecieramy aby skórę i pestki oddzielić, następnie zagęszczamy jeszcze raz na ogniu, nalewamy w butelki, sterylizujemy.

Sposobów jest dosyć dużo, jedni solą, inni nie solą, każdy wykonany starannie będzie dobry. Ja osobiście stosuję inny trochę, który mi z pewnych względów odpowiada, robota jest prędka, duszenie stosunkowo krótkie, a purée dość gęste.

3) Oczyszczone z pestek pomidory przepuścić przez maszynkę, postawić w chłodzie do drugiego dnia, żeby się jasny, wodnisty sok oddzielił. Wyrzucić nazajutrz rano całą masę na płótno, rozpostarte na sicie, dać ścieknąć wodzie, purée zagotować w kociołku, przelać ciepłe w słoje czy butelki, zakorkować, sterylizować minut 30 — 40. Przez odsączenie płynu, który nie ma wielkiej wartości ani smaku, oszczędzamy długiego duszenia na ogniu i otrzymujemy łagodniejszy smak konserwy. Nie odsączać zadługo, żeby pasta nie była zbyt sucha, kilka minut leżenia na płótnie wystarczy.

Większość warzyw wymaga sterylizowania dwukrotnego, w tym jednak wypadku, gdy pomidory poprzednio poddajemy zagotowaniu, jest to już zbyteczne.

Tak przygotowane pomidory dają produkt nadający się do dalszego przetworzenia na sos, zupę, etc. Można jednak z pomidorów, zwłaszcza gdy ich mamy nadmiar, robić inne przetwory. Podaliśmy już przepis na Catsup, konfiturę i marynatę, podamy jeszcze kilka, które się paniom mogą przydać. Na zakończenie jednak przepisów na purée, czyli inaczej marmeladę, dodam, że zasadniczo sterylizowanie po dobrem duszeniu winnoby nie być konieczne, najczęściej jednak purée takie fermentuje, kto zatem nie chce sterylizować, może zakonserwować pomidory dobrze uduszone benzoesem. Ważne jest w każdym wypadku dobre korkowanie. Korki winny być długie, zaraz po zakorkowaniu lub zaraz po sterylizowaniu korki należy uszczelnić zasmarowując pechem lub zanurzając trzykrotnie w parafinę po połowie z woskiem. Sama parafina pęka po zaschnięciu. Można również zamknąć główki butelek papierem pergaminowym lub cynfolją.

Marmelada słodka.

Pięć kilo pomidorów obciągnąć ze skórki i oczyścić z pestek, dosypać 2 klg cukru i ciągle mieszać, żeby się nie przypaliło, dusząc około 2-ch godzin, aż nabierze wyglądu marmelady morelowej. Dla zapachu wsypać na powyższą ilość łyżkę mielonego imbiru.

Galareta z pomidorów.

Kilogram pomidorów i pół kilograma obierzyn z dobrych, pachnących jabłek, oraz kawałek cynamonu gotować w wodzie, która je tylko pokryć winna, do miękkości. Sok wycisnąć, wlać w rondelek, zmierzyć na patyczku wysokość płynu, wsypać na miarę tyle cukru, ile było płynu, wygotować do znaczka, nalewać ciepłe w słoiki. Obierzyny z jabłek można użyć podsuszone, zbierane z kilku dni. Dla zapachu mogą być zamiast cynamonu skórki z pomarańczy (sam wierzch otarty) wanilja lub imbir.

Konfitura z melona.

Na konfiturę najlepszy jest melon nawpół dojrzały, który mocno pachnie, ale nie jest bardzo miękki. Krajemy go na ćwiartki, wybieramy z wewnątrz pestki, cienko obieramy i krajemy w mniej więcej równe kawałki, wielkości cukru kostkowego. Wrzucamy na gorącą wodę, dajemy raz zawrzeć, wylewamy na sito i przelewamy zimną wodą.

Kiedy zupełnie obeschną, złożyć na półmisku czy wazie, skropić rumem, koniakiem, lub spirytusem, pozostawić tak 15 — 20 minut. Na kg tak przygotowanego melona wziąć półtora kg cukru, zrobić syrop bardzo gęsty, dając tyle tylko wody, aby się cukier dał rozpuścić, t. j. mniejwięcej szklankę. Wrzucić melon i smażyć powoli, aż się zacznie robić jak gdyby przezroczysty.

Melon w occie.

Przygotowany jak wyżej melon, pokrajany jednak w większe, podłużne kawałki, naszpikować gwoździkami i zalać dobrym zimnym octem na noc. Nazajutrz w tymże occie obgotować melon, unikając zbytniej miękkości. Ocet zlać, przecedzić przez podwójnie złożone płótno, melon ułożyć w słoiki. Na ½ litra odlanego octu wlać 1/2 litra wody, wsypać kilogram cukru, ugotować syrop, przestudzić, zalać melon.

Ogórki kwaszone na zimę.

Warunkiem dobrego ukwaszenia ogórków jest dobra, szczelna beczka, bez wszelkiego zapachu. Po starannem wymyciu wodą z sodą nieoczyszczaną, jakiej się używa do szorowania, prania i t. p., wytrzeć jeszcze beczkę koprem, estragonem, liśćmi czarnej porzeczki, cząbrem i t. p., podesłać na dnie liście dębu, winorośli, wiśni, porzeczek, zależy, jakiemi rozporządzamy. Na tej cienkiej warstwie ustawiamy sztorcem ogórki jeden przy drugim, izolując od ścian cienko liśćmi. Po ustawieniu rzędu ogórków kładziemy owoc tureckiego pieprzu, koper dojrzały, suchy, kto lubi 4 — 6 ząbków czosnku (nie główek, ale ząbków z których się główka składa) oraz warstewkę liści. Tak układamy aż do góry.

Płyn przygotowujemy następujący. Na 10 litrów wody przegotowanej ½ kg soli, 1 dk saletry i pół szklanki dobrej wódki czystej. Wodę przestudzić, zalać ogórki, na wierzch dać liście, koper, estragon i rodzaj rusztu z patyczków, żeby się ogórki nie wydostawały nad wodę. Zabić dno, ale otworu nie zatykać na dobre, ponieważ może zajść potrzeba dodania wody. Na trzeci dzień sprawdzić ilość wody, dolać przegotowaną i przyprawioną jak powyżej, zatkać i dobrze uszczelnić pechem.

W piwnicy suchej i niezbyt zimnej, nie kłaść beczki na ziemię, ale na podstawione paliki.

Przy używaniu uważać aby przestałe ogórki były dobrze wodą okryte, bo nietylko, że się będą odkryte psuły ale i zarażały całą beczkę.

Do kwaszenia zimowego bierzemy ogórki w początku września, zrywane zrana po rosie lub po deszczu. Najlepsze są wąskie i podłużne, niezupełnie rozwinięte, pełne w środku. Najlepiej kwasić świeżo po zebraniu, o ile kupujemy na rynku włożyć w zimną wodę na 2 — 3 godziny, ale nie dłużej. Unikać sztuk z plamami.

Niektóre gospodynie są zdania, że ogórki aby nie były puste wewnątrz, należy zrywać w okresie „rośnięcia“ księżyca t. j. przy pierwszej kwadrze i pełni.

Kwaszenie zielonych pomidorów.

Do tego celu bierzemy na jesieni pomidory wyrosłe i już bielejące. Układamy je w beczce, jak ogórki z liśćmi i przyprawami i zalewamy wodą jak wyżej, poczem stawiamy w lodowni. O ile lodowni nie mamy, nastąpi w pomidorach fermentacja, to też w takim razie, dla uniknięcia pęknięcia beczki, nie zabijamy dobrze czopa, ale zatykamy otwór watą owiniętą muślinem.

Morele w konserwie.

Niezupełnie dojrzałe morele podzielić na połówki, pestki stłuc i wyjęte ziarnka obrać ze skórki. Przygotować syrop. Jeżeli konserwa ma służyć na kompot dajemy szklankę cukru na dwie szklanki wody, jeżeli ma to być raczej niezbyt gęsta konfitura, bierzemy na 4 szklanki cukru dwie wody. W ciepły syrop kładziemy owoce i pestki i gotujemy 10 minut. Przekładamy do słoików i sterylizujemy 40 minut.

Zupa nic.
(na żądanie pani S. Z.)

Cztery białka ubić na sztywną pianę z półszklanki cukru-pudru. Zagotować dwa litry mleka z kawałkiem wanilji lub cynamonem, na gotujące mleko kłaść łyżką pianę jak kluski, zagotować, jeżeli mamy jeść na gorąco zaraz, dosłodzić tylko do smaku i podawać, jeżeli na zimno, należy kluski z piany wybrać łyżką durszlakową na talerze lub do wazy, ostudzone zaś mleko nalać na nie podając.

Zupa z ogórków.

Cztery ogórki obrać, wyjąć pestki, wstawić w rondlu z włoszczyzną, kostką wołową i 5 dk wędzonki, niech się gotują zupełnie na miękko.

Osobno ugotować w wodzie z solą 3 ogórki oczyszczone i pokrajane w kosteczkę, odcedzić, włożyć do wazy albo na talerze. Wędzonkę po ugotowaniu wyjąć, pokrajać również na talerze, włoszczyznę i kości wyjąć, ogórki przebrać, rozprowadzając smakiem, zaprawić kawałkiem masła roztartym z mąką, wsypać garść kopru siekanego.

Na samem wydaniu wziąść 2 — 3 żółtka, rozbić w garnuszku z trochą zupy, wlać do rondla ale już nie gotować tylko dobrze zagrzać.

Podawać z grzankami z białej bułki.

Pomidory w cieście.

Dwa jajka rozetrzeć z mąką na gęste ciasto, rozprowadzić mlekiem, aby miało gęstość jak na naleśniki. Jeżeli jest w domu, można włożyć 2 — 3 łyżki śmietany. Posolić. Dojrzałe ale twarde pomidory pokrajać w plastry, wyjąć pestki, talary zlekka posypać solą, włożyć między dwie serwety, odcisnąć lekko z soku, maczać w cieście i spuszczać na rozpalony smalec, z którego zaczyna się unosić błękitnawy dymek. Zrumienić na kolor jasno-bronzowy, podawać natychmiast.



LS.

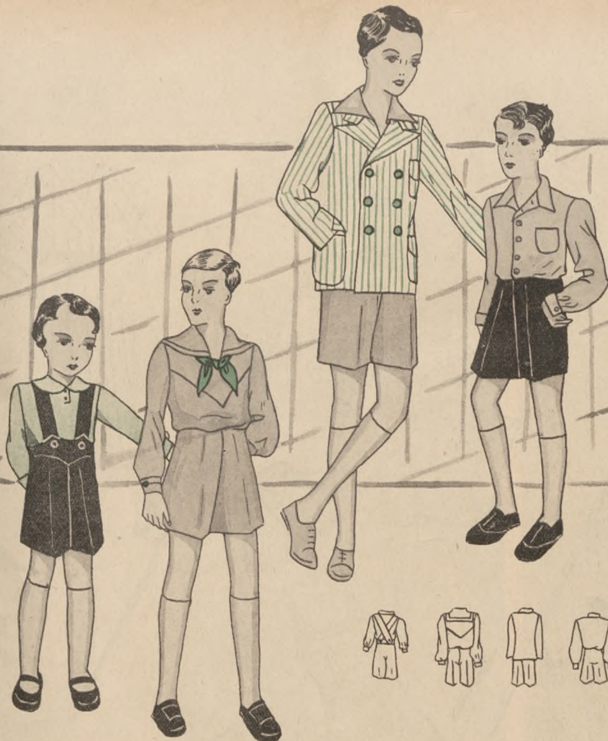
712 P.P. Skromna sukieneczka z surowego jedwabiu, przybrana falbanką.

713 P.P. Kostjumik z płótna, kamizelka w kropki.

714 P.P. Ładny komplecik dla dziewczynki od lat 6—8.

715 P.P. Lekki płaszczyk z wełny dla 6-cioletniej dziewczynki.

Uprzejmie prosimy Panie Prenumeratorki, by wpłacały należność za wykroje bądź przekazem pocztowym, bądź na P. K. O. lub znaczkami. Za zaliczeniem nie wysyłamy nie chcąc odbiorcy obarczać kosztami przesyłki.



716 P.P. *Ubranko dla chłopca od lat 3—5.*
717 P.P. *Płócienne ubranko dla chłopca od 6—8 lat.*
718 P.P. *Garniturek dla chłopca od lat 7—9.*
719 P.P. *Aksamitne spodenki z białą bluzą.*

BIELIZNA DZIECINNA



720 P.P. Piżama dla dziewczynki.
721 P.P. Koszulka z majteczkami, przybrana mereżką.
722 P.P. Nocna koszulka dla dziewczynki.
723 P.P. Majteczki dla rocznego dziecka.
724 P.P. Komplecik.
725 P.P. Kąpielowy szlafroczek dla chłopca.

Redaktorka ANTONINA DEMBIŃSKA. Wydawca: Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz", Warszawa.
Druk i Klisze w Zakł. Graficznych Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.



Serweta płócienna, biała
wielkość: 120 x 120 cm
obrębek na 3 cm. przyszyć gałązką zieloną

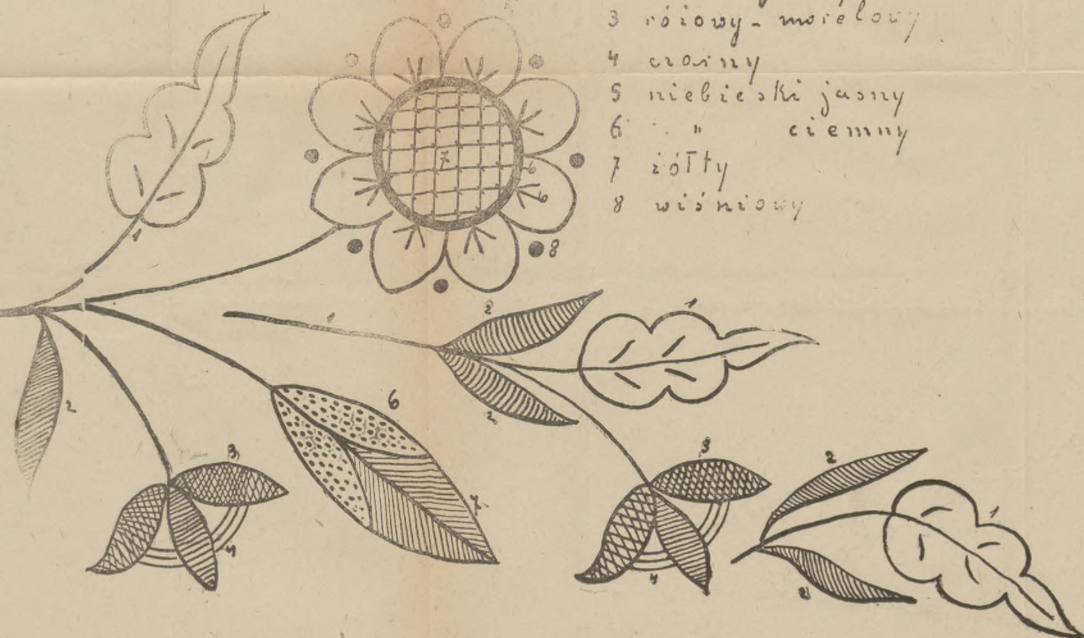
Ściegi: pocztowy, płaski, atłasek
janina, węzełki

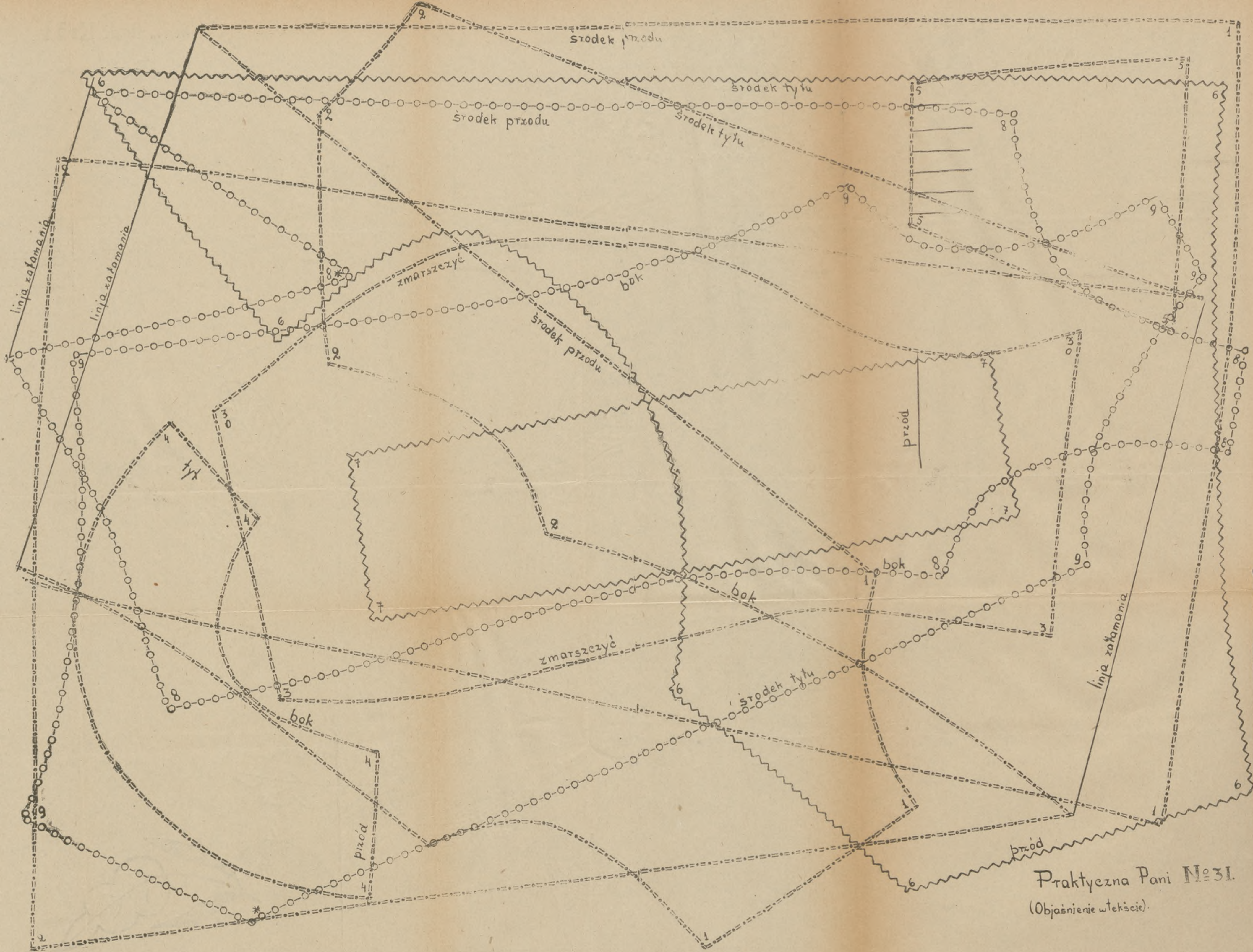




Kolory:
1 zielony ciemny
2 " jasny
3 różowy-morelowy
4 czarny
5 niebieski jasny
6 " ciemny
7 żółty
8 wiśniowy







Praktyczna Pani №31.

(Objaśnienie w tekście).